Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — Niedziela, dnia 3 października 1937 r. — Nr. 40

SEN



Był sen... cudny, jasny sen,
który zbyt piękny był na to,
aby mógł trwać długo —
lecz dla mnie ten sen był świetlaną smugą,
co rozświetliła mi wąską ścieżynę,
którą codziennie kroczę — —
I już teraz jej wielkości, ni końca nie zoczę,
bo sen ten przypiął mi skrzydła
na me dalsze loty
i dziwne obudził tęsknoty...
Tak... ten sen, jasny sen...
zbudził we mnie to wszystko
co cicho drzemało —
okryte — jak pleśnią, powłoką nietrwałą
i powiedział mi nagle o wszystkim,
co dotąd tajemnie
chowało się przede mną w nieznane mi ciemnie.
I choć to był tylko sen, cudny sen,
nie pryśnie on dla mnie, jak bajkowa złuda,
lecz wskaże mi wszystkie skarby i rozliczne cuda
i po nitce cieniuchnej, we śnie tym utkanej,
wejdę do krainy, ze snu tylko znanej,
bo złota nitka będzie wskazywać mi drogę...
...choć przecież tak łatwo poplątać ją mogę...

Krystyna Waligórska.

MARIA REUTT

8)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Kozak Hrym czekał na swego pana na ganku. Pomógł mu zsiąść, odebrał od niego uzdę i zawołał na stajennego. Hrabia rzuciwszy w przedpokoju rękawiczki i szpicrutę, wszedł do swego gabinetu. Wszystko tu mówiło o zamożności i smaku właściciela.

Nie usiadł przy biurku lub w fotelu, ale włożywszy ręce do kieszeni, chodził tam i napowrót z głową spuszczoną, z czołem przeciętym głęboką zmarszczką zamyślenia.

Wreszcie zmęczył się i usiadł, ale zaduma nie schodziła mu z twarzy, a czoło nie rozpogodziło się. Z bocznej kieszeni wyjął kluczyk. Sięgnął do torby pocztowej, otworzył ją tym kluczykiem i wyjął sporą paczkę gazet i listów.

Odłożył gazety na bok, a były między nimi francuskie, niemieckie, angielskie, rosyjskie i polskie — i wziął się do przeglądania listów.

Jedne odkładał niedbale — były to prośby emigrantów rosyjskich o wspomożenie — drugie ogłoszenia i oferty wrzucał do kosza, jeszcze inne czytał uważnie.

Różowy liścik, pisany po rosyjsku, wywołał uśmiech na jego twarzy.

TAJEMNICE BIURKA

„Kostuś, kotku mój najmilszy, przyjedziesz niedługo, bo tęsknię i do Ciebie i do Oazy i angielskiego.... Kapelusz mój słomkowy również już niemodny, noszą obecnie filcowe.

Twoja Zosia“

— Ładna bo ładna bestyjka — mruknął — ale droga...

Coś, czy kogoś przypomniał sobie, bo oczy zwęziły mu się i usta zacięły. Z małej, tylnej szufladki wyjął fotografię, i przyglądał jej się przez chwilę.

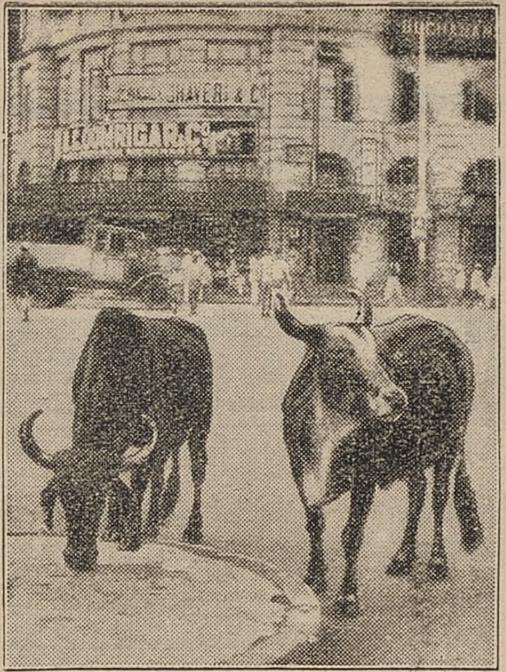
Przedstawiała młodą, dziewczynę, owiniętą tylko w przezroczysty szal. Duże, ciemne oczy dziewczyny patrzyły przed siebie smutnie, z wyrzutem, usta miała zacięte. Palce kurczowo zaciśnięte na szalu, jakby się broniła przed niewidzialną ręką, co chciała zedrzeć z jej ramion tę przejrzystą zasłonę.

— Głupia! — mruknął przez zaciśnięte zęby, rzucając fotografię z powrotem do szuflady.

Różową kartkę zatknął pod przycisk.

Następny list był od księgarza z ulicy Świętokrzyskiej, Pisał złą polszczyzną, że książki niemieckie, zamówione przez pana hrabiego już nadeszły.

Duża, biała koperta, z drukowanym adresem adwokata Jakóba Szuppelta została starannie rozcięta. Adwokat donosił, że sumy przekazane



W Indiach doznają czci boskiej między innymi i krowy. Na zdjęciu 2 „boskie“ krówki przechadzające się spokojnie po ulicach Bombaju.

otrzymał i rozporządzi niemi odpowiednio do wskazówek. Pisał, że p. Andzia Pacanowska już zdrowa i dziękuje za tak łaskawą pomoc. Wyjedzie na Hel w sierpniu.

Resztę kopert, białych, niebieskich, biurowych, to wąskich, podłużnych welinowych, odsunął ze znudzeniem.

...Stanowczo muszę wziąć sekretarza...

Wyjął z teczki kawałek papieru i zaczął pisać. „Poszukuje się młodego, wykształconego człowieka, Polaka, jako sekretarza. Obowiązkowa znajomość francuskiego, angielskiego, niemieckiego. Posada stała. Warunki od umowy. Odpowiedź do „Kuriera“.

Zadzwonił. — Ukazał się kozak.

— Pojedziesz do Warszawy — podał mu kopertę księgarza — zgłosisz się do tego sklepu. Dadzą ci tam paczkę i powiedzą, co z nią zrobić. — Wskazał na różowy liścik i wyciągnął pieniądze: — Masz tu sto tysięcy marek, doręczysz je osobiście pannie Zoi Filipow, adres wiesz, Zamówisz dla niej bukiet kwiatów ode mnie. — Wziął do ręki napisane przez siebie ogłoszenie: — To oddasz do „Kuriera Warszawskiego“ i zapłacisz. W Warszawie spędzisz cztery dni.

Wyjął jeszcze jeden stotysięczny banknot. — A to dla ciebie na wydatki...

Kozak zgiął się w ukłonie i wycofał.

Gdy został sam, wstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju tam i napowrót.

Coś obmyślał, nad czymś się zastanawiał, obliczał, układał.

WIDMO ZAZDROŚCI.

Ludka była bardzo niezadowolona, gdy się dowiedziała, że obaj panowie byli podczas jej nieobecności.

Zawołała Józię do siebie jako bystrzejszą i wypytywała ciekawie — jak długo byli, co robili, o czym rozmawiali.

Ucieczyła się, że hrabia nie rozmawiał prawie z Danką, ale rozgniewała się na siostrzenice, że grały z Andrzejem w tenisa.

— Panna Danka nie umie grać!... Jak mogłyście stryjkowi narzucać ją i zmuszać go do gry?!...

— Kiedy stryj wcale się nie gniewał i nie oponował... — tłumaczyła się dziewczynka.

— Twój stryj jest bardzo dobrze wychowany, więc nie mógł okazać niezadowolenia pannie Dance, bo nie chciał jej zrobić przykrości, ale wy obydwie mogłyście same domyśleć się tego...

* * *

— Wie pani — zwierzyła się Józia nauczycielce — ciocia Ludka nie lubi pani, Ja od razu na bryczce mówiłam, że ciocia Ludka będzie o panią zazdrosna. Ona się boi, żeby stryj nie zakochał się w pani.

Danka wzięła dziewczynkę za rękę i przyciągnęła do siebie.

— Józiu, grzeczna dziewczynka nigdy nie powtarza, co mówią starsi lub co im się zdaje, że myślą starsi. Nie zawsze mała, taka jak twoja, główka może dobrze odgadnąć, co starsi mają na myśli, gdy to albo owo mówią. Twoja ciocia ani mnie lubi, ani nie lubi... Jestem dla niej obca, mało mnie zna, nie może być zazdrosną o waszego stryja, bo ani on mnie, ani ja mu się nie podobam, zresztą nie wyjdę nigdy za mąż...

Mała poczerwieniała, ale nie wyglądała na przekonaną.

— Kiedy ja wiem co mówię — upierała się — ciocia jest o panią zazdrosna. Do panny Mili, która była stara i brzydka, ciocia odnosiła się tak dobrze, zawsze z nią spacerowała i jeździła...

Danka znalazła się w kłopotliwym położeniu... Skarcić ją ostro, to znaczy zabić w niej zaufanie do siebie — a z drugiej strony nie można pozwolić, żeby rozwijało się w niej zamiłowanie do intryg.

Pocałowała dziewczynkę w różową buzię.

— Wierzę, Józiu, że mówisz z przekonania, ale jeszcze raz ci powtarzam, że się mylisz. Po drugie — opowiadanie czegoś, co może zrazić jedną osobę do drugiej, jest plotkarstwem, a plotkarki są zawsze nielubiane przez nikogo, jako osoby szkodliwe. Nie chciałabym, żeby taką grzeczną i miłą dziewczynkę jak Józia, nazywano plotkarką i unikano jej....

Pocałowała ją jeszcze raz i zabrała odrazu do lekcji muzyki, nie dając jej możności usprawiedliwienia się.

Znalazłszy się jednak w swoim pokoju przed obiadem, zamyśliła się nad słowami dziecka. Mała miała rację, że Danka jest Ludce solą w oku, że ta widzi w niej rywalkę.

...Gdyby ona wiedziała — jak się myli, jak bardzo jestem dla niej nie-

szkodliwa. Ja i miłość lub małżeństwo...

I porwał ją znów, jak wicher, żal nad swoją krzywdą tak niezasłużoną. Wtuliła się w poduszkę, by stłumić szloch, co wyrywał się nazewnątrz.

HRABIA W ZALOTACH I STUDENT FILOZOF

Hrabia przyjechał nazajutrz. Elegancki, pogodny, w miarę natarczywie spoglądał w oczy pannie, w miarę zachłannie zajmował się jej osobą.

...Głupi Andrzej — myślała z żalem pani Ciemierzewska, patrząc na starania hrabiego o względy siostry — miałby taką dobrą żonę i ze swego gniazda, a tak — ten moskal może ją urzec... Co prawda, hrabia bogaty, ale moskal...

A ten, o którym tak nieprzychylnie myślała, mówił przymilnie do Ludki:

— Przyjadę jutro konno po panią, dobrze? Mam ślicznego pół-krwi arabka, łagodnego, niebojaźliwego, przyprowadzić go każę i pojedziemy w moje lasy...

Zgodziła się. Zyskiwała na wartości w swoich własnych oczach.

— Na przyzwoitka weźmiemy tego bladego, księżycowego studenta — roześmiał się trochę cynicznie, wskazując nieznacznie głową na siedzącego na ławeczce pana Leona, którego gryzła zazdrość.

...Nowe sitko na kołek — powtarzał sobie z goryczą raz po raz, jak maniak, — ...w zeszłym roku był pan Rzecki, doktór i pan Stekoński, komisarz ziemski... W tym znów poważniejsze ryby — dyplomata, hrabia, dziedzice dóbr... Kobieto, puchu marny — zadeklamował mimo woli wiersz Mickiewicza — ...byłyście takie i przed Mickiewiczem i w jego czasie, zostałyście takimi samymi i teraz. Naturalnie, co ja jej mogę dać — miłość szczerą, a pozatem — lata ubóstwa, przeciętnej zamożności, liczenia się z groszem, drobne, tanie przyjemności... Czy nie lepiej zrobiła, nie rozsądniej, nie praktyczniej Maryla, że wyszła za Puttkamera... Bo i cóż, że został po niej wiersz, potępiający ją przez poetę — „duszę masz gorszą... aniżeli — przebóg, tak cię oślepiło złoto...“ — Wyszła za mąż bogato, dla majątku i nazwiska, w swoją sferę. Zostawiła po sobie pamięć najlepszej żony, obywatelki patriotki — analizował niespodziewanie dla samego siebie — a żona Mickiewicza co osiągnęła, zostawszy żoną najznakomitszego poety polskiego, cenionego wysoko jako wieszcza? Wieczny niedostatek, poniewierkę, tułaczkę, przedwczesną śmierć. Nie dał jej szczęścia ni zamożoności genjusz męża, jego wielka działalność społeczna, uznanie Polski i zagranicy dla naszego wieszcza, jego uduchowienie. Gdy ta, która wzgardziła nim, że był tylko biednym poetą, stąpała po płatkach róż, pławiąc się w słońcu, radości życia — to ta, która go wybrała, która zgodziła się dzielić z nim życie, raniła sobie duszę o kolce życia codziennego, zapomniała w trosce o byt o tym, że można śmiać się do słońca i kwiatów... Ta niewierna przeszła do literatury jako śliczne, urocze, wiośniane natchnienie w życiu poety — a o tej drugiej — spracowanej, znękanej troskami, wiernej towarzyszce jego życia, nie wspomina się prawie wcale. Jest ona zaledwie szarym, nikłym cieniem, niegodnym uwagi. Czy jest jaki wiersz wieszcza do niej lub o niej? A jeżeli jest, to który podlotek czy podrostek uczy się go lub zadeklamuje z przejęciem, z patosem?... A przecież i ona była młoda, ładna, poetyczna, inteligentna i zakochana, marząca o złudnej baśni szczęścia... Wszyscy pamiętają o altance Maryli Puttkamerowej, o kamieniu, na którym siadywała — a kto z przeciętnych czytelników wie, gdzie umarła i gdzie pochowana jest Celina Mickiewiczowa? A przecież ona ma największe prawo do pamięci ludzkiej...

Uderzył się po czole. — ...Idiota jestem, ślamazara. Zamiast oburzać się, to jeszcze usprawiedliwiam ją za to, że gotowa każdej chwili sprzedać się więcej dającemu — przecież to wstrętne takie kupczenie swoją urodą...

Miękł znowu, usprawiedliwiał ją:

...Może, gdyby kochała, byłaby inną, nie oglądałaby się na majątek.

Zaciskał dłonie w męce beznadziejnej udręki. Rozumiał, że nie może jej zmusić do kochania siebie.

...Serce można zmusić do milczenia, ale nakazać miłości nigdy!... Żebym ja mógł wydrzeć z serca to miłowanie, co mi się wżarło w duszę!

Nic nie pomagała analiza istoty duchowej dziewczyny, nic krytyka. Kochał ją taką, jaką była. Nie kryła się przed nim, nie udawała. Jak ćma do ognia, wracał do niej. Parzył się, cierpiał, lecz wracał.

MIŁOŚĆ I JEŻ...

Hrabia Bugrowcew i Ludka przeszli rozbawieni, zajęci sobą, nie zwróciwszy na niego uwagi. Szli nad staw.

...Będzie jej mówić o miłości, o jej oczach, o ustach nadających się tylko do pocałunku — zgrzytnęło mu w duszy zazdrością. Poczuł ból zazdrości tak silny, że miał wrażenie, że wszystko wewnątrz skręciło mu się z bólu. Ścisnął dłońmi skronie.

— Panie Leonie, idziemy do lasu na jagody — wołały z werandy dziewczynki — niech pan idzie z nami...

Wstał i odchrząknął:

— Idę!...

Propozycja ich przyszła w samą porę. Gdyby został dłużej na tym samym miejscu pełniłby jaki czyn szaleńczy.

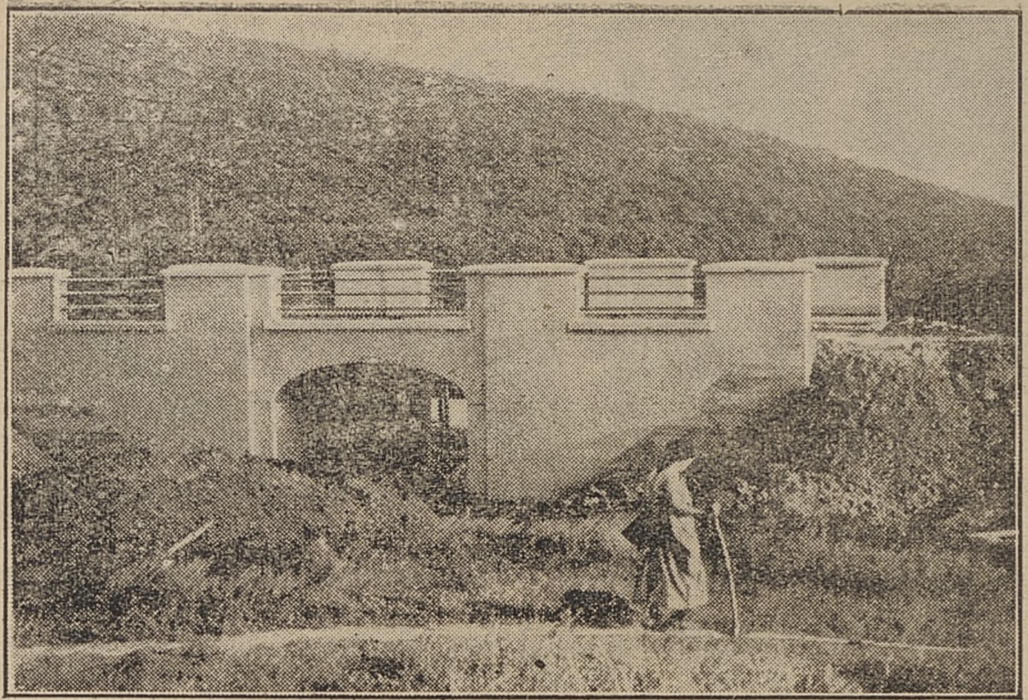
Myśka ucieszyła się jego towarzystwu. Wsunęła mu w dłoń swą małą rączkę i szła obok niego spokojna, cicha, jakby odgadywała stan jego duszy.

Bliźniaczki, podobne fizycznie, różniły się między sobą charakterami. Józia — żywa jak skra, spostrzegawcza, wścibska, nie przejmowała się ludzkimi kłopotami i zmartwieniami. Myśka, spokojniejsza, wrażliwa była na ludzką niedolę i intuicyjnie odczuwała ludzkie zmartwienia.

Danka próbowała nawiązać z nim rozmowę, ale odpowiadał sylabami „tak“ lub „nie“.

— Co pan taki nudny dziś? — spytała wesoło. — Co panu dolega?

— Miłość! — odpowiedział krótko.



Wokół Wiednia budują Austriacy szereg nowoczesnych dróg turystycznych. Na zdjęciu piękny mostek betonowy w okolicy podmiejskiej.

— Fe, któż to mówi takie herezje w dwudziestym wieku! Deklamacja podobna uchodziła Deotymie Bałuckiemu, a nie studentowi politechniki z roku 1922.

Pies Myzio idący obok Józi zaskomlał, puścił się pędem między bruzdy i zatrzymawszy się na kilkadziesiąt kroków, szczekał zajadle.

— Znalazł zajączka! — wołały dziewczynki biegnąc na ratunek.

Na szczęście był to tylko jeż, który nie zwijając się w kłębek, sunął powoli przed siebie, nieprzestraszony ujadaniem psa.

— Więc pani nie wierzy w miłość? — pytał student.

— Proszę pana, każdy wiek ma swoją wagę i to, co było ideałem w dziewiętnastym, jest przeżytkiem w dwudziestym wieku. Czy kocha mężatka, zdradzająca męża dla nowego wrażenia, dla zabawy? Czy rozumie miłość panna w biurze, romansując z szefem, dziewczyna ze sklepu z kupcem właścicielem dla pończoch jedwabnych lub sukienki?... Czy rozumie miłość stara księżna, biorąca sobie jakiegoś młodzika? Co warta jest miłość panny na wydaniu obliczającej materialne i towarzyskie atuty starających się?... A w Bolszewii, w kraju cygańskich romansów, bałałajek, mandoliny, gitary — co tam się stało ze słowem „miłość", „kocham"?!...

— Brrr... — wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Wróciły dziewczynki, ciągnąc zziajanego Myzia. Rozmowa urwała się.

— O to stary jeż, obyty z psami, bo nic się nie bał — tłumaczyły jedna przez drugą, pokazując rękami, jaki był duży.

Weszli do lasu. Owinęła ich zieleń, owionął zapach wilgoci. — Myśka podała Leonowi torebkę.

— Niech pan zbiera...

Rozeszli się wszyscy, każdy w inną stronę.

— Dziewczynki, tylko nie odchodźcie daleko — prosiła Danka.

Student z początku niechętnie się schylał, ale stopniowo ogarniał go zapał i ani się spostrzegł, jak łapczywie napełniał torebkę jagodami.

Zajęcie to przyniosło mu ulgę, uspokoił się i nie patrzył z takim pesymizmem na świat.

Odpoczywali potem na polanie zielonej jak szmaragd, częstując się nawzajem jagodami.

SEKRETY SEKRETARZA

Kozak hrabiego wrócił po kilku dniach pobytu w Warszawie. — Prosto z wózka zameldował się hrabiemu.

Książki odebrał, ale pani Zofia prosiła, by zostawić je u niej do przejrzenia, pieniądze jej oddał. Ogłoszenie dał i czterdzieści ofert przywiózł, lecz pani Zofia mówiła że ma kandydata i przyśle go jutro. Prosiła o konie dla niego, jakiś Polak, który dopiero co wrócił z Anglii.

— Będzie miał robotę — od razu poodpowiada na te listy — rzekł do siebie, opierając rękę na stosie ofert.

— — — — — — —

Zapowiedziany kandydat zjawił sie nazajutrz. Miał jak najlepsze referencje, znał dobrze języki, pisał na maszynie.

Nie będzie pan zanadto przeciążony pracą, ale wymagam staranności — objaśniał mu Bagrowcew. — Zanim pan odjedzie po rzeczy, proszę odpisać na te listy, że niestety, nie mogę skorzystać z proponowanych usług, bo już wybrałem najodpowiedniejszego dla siebie kandydata.

Otworzył drzwi do sąsiedniego niedużego pokoju.

— To będzie pańska pracownia. Jest tam biurko, maszyna i papier. Gdy listy będą gotowe, przyniesie mi je pan do podpisu. Obiad u mnie o drugiej, a pociąg odchodzi o szóstej, więc będzie pan miał dosyć czasu na rozejrzenie się po pałacu. — Kiwnął głową, odwrócił się do biurka i wziąwszy jedną z gazet pogrążył się w czytaniu.

* * *

Danka została niemile zdziwiona, gdy wchodząc na ganek dworu w Ustroniu, usłyszała z głębi mieszkania głos męski.

— Pan Staniszewski, sekretarz hrabiego — przyszedł prosić mnie o słownik francuski... Hrabia nie ma żadnego u siebie, a pan Staniszewski zapomniał swojego w Warszawie...

— Jeżeli pani nie ma, to mogę służyć moim...

— Jakto dobrze — ucieszyła się pani Ciemierzewska — bo mój jest tak zniszczony i stary, że wątpię, czyby się panu na co przydał.

— Pan będzie łaskaw przysłać jutro kogo...

— Nie mógłbym sam przyjść? — wdzięczył się natrętnie.

— Nie jestem u siebie i nie wiem, czy państwo Ciemierzewscy nie mieliby mi za złe znajomości poza ich plecami... Więc lepiej będzie, jeżeli pan przyśle posłańca.

— To się nazywa „rekuza" — mimo to mam nadzieję, że będziemy w przyjaźni.

— Słaba nadzieja, bo nie jestem wcale towarzyska — odrzuciła żartobliwie choć stanowczo.

* * *

— Poznałem nauczycielkę z Ciemierzewa — oznajmił sekretarz hrabiemu, gdy siadali do stołu — obiecała mi pożyczyć słownik francuski.

— Podobała się panu? — zapytał obojętnie, podnosząc kanapkę z szynką do ust.

— Owszem, ale wolałbym, ażeby była bardziej przystępna.

— Wzamian za pożyczenie słownika, trzeba żeby jej pan posłał kilka książek francuskich z tej nowej paczki jeszcze nierozpakowanej. I tej pani pod lasem niech pan zaniesie kilka gazet niemieckich i francuskich.

— Biedactwo, na pewno dawno już nie czytała dzienników zagranicznych. Jestem tu zbyt obcy, muszę starać się zjednać sobie okolicę i pańskim obowiązkiem będzie pomóc mi w tym czym się można przysłużyć. Telefonował pan na stację, czy samochód już przyszedł.?

— Tak, ale jeszcze nie ma.

* * *

W parę dni potem piękny, czerwony dwuosobowy Fiat stał przed dworem w Ciemierzewie.

— Panno Ludko, jedziemy. Mam interes do Częstochowy, chcę wypróbować maszynę. Poprosimy pana Leona — uprzejmy ukłon w stronę milczącego studenta — ażeby się zgodził nam towarzyszyć i machniemy się, dobrze?...

— Panie Leonie, pojedziemy... — prosiła.

Widać, że miała wielką ochotę na tę przejażdżkę i że dąsać się będzie na niego, albo pojadą we dwójkę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

50)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Potem zasznurował ją na nowo i zapiął jej bluzkę.

Ona nie tak prędko się zbudzi — pomyślał — mogę śmiało wyruszyć.

Nałożył zarzutkę i kapelusz, potem dopiero zdjął z twarzy Maryni chustkę zmoczoną w chloroformie i wyszedł.

Dorożką kazał się zawieźć na dworzec kolejowy przy Friedrichstrasse.

W pół godziny później odjeżdżał pociągiem do południowych Niemiec

Po pewnym czasie Marynia zaczęła się poruszać.

Czuła się taka zmęczona i senna, że sprawiało jej trud każde najmniejsze poruszenie.

Tarła sobie oczy i szeptała:

— Musiałam silnie spać. Głupio było. W samej rzeczy, że za wiele piłam, bo w głowie mi huczy i niedobrze mi.

Z trudem podniosła się i spojrzała dokoła, przy czym zaczęła się triumfująco uśmiechać.

— Ten dureń naprawdę poszedł — rzekła — teraz mogę wszystko zrobić tylko trzeba się spieszyć.

Całą siłą woli przemogła senność, zapakowała najbardziej wartościowe przedmioty swej garderoby do ręcznej walizki, wzięła kapelusz i płaszcz i mimo zmęczenia prędko wyszła z hotelu.

Wsiadła do dorożki, kazała się zawieźć na dworzec przy placu Aleksandra i zadowolona wyjechała.

Napróżno oczekiwano w hotelu pruskim powrotu państwa Haberów.

Gdy ich przez całą dobę nie było, właściciel hotelu zaczął przypuszczać coś niedobrego.

Zrewidował pozostałe po gościach ubrania i skonstatował z bólem, że to wszystko razem przedstawia tylko małą wartość i rachunku nie pokryłoby nawet w połowie.

Posłał więc za ową godną parą na wszystkie cztery strony świata moc przekleństw i postanowił na przyszłość być ostrożniejszym, aby się nie dać oszukać blagierom i gałganom.

ROZDZIAŁ CXCIV

Zawiedzione nadzieje

Żadne pióro nie opisze bólu, którego doznała Hortensja, gdy obudziwszy się ze snu uświadomiła sobie całą rozpacz swego losu.

Łamała ręce i zalewała się łzami.

Z ust jej wyrwały się jęki i niedomówione skargi.

Po raz drugi straciła Leona.

W tym jednym zdaniu mieściła się cała bezdenna jej boleść.

Powoli dopiero uspakajała się nieznacznie pod wpływem innych myśli.

Leon nie opuścił jej przecież dla innej, tylko dlatego, że ją tak szalenie kocha i że chce się stać godnym jej miłości. Była to przesadna honorowość, a Hortensja odczuwała to tym silniej, że nie była już taka dziecinna jak przedtem, gdy ją Leon opuścił pierwszy raz i nie była już taka bierna, jak wtedy.

Teraz była kobietą, która miała energię, odwagę i chciała działać!

Nie spocząć, póki go nie odnajdzie, potem rzucić mu się do nóg i błagać:

Na miłość moją zaklinam cię, zdejm pychę z serca, bo pychą jest twoja ambicja wobec mnie. Nie opuszczaj mnie, bo serce mi pęka. Jeżeli nie chcesz być między ludźmi, pójdę z tobą w ciche, samotne ukrycie. Nie opuszczaj mnie, bądź moim!



Te małe potworki, które przyszły na świat w londyńskim Zoo — to późniejsze groźne aligatory.

Całą noc przepędziła płacząc i modląc się.

Prosiła Boga w pokorze o pociechę, ale teraz nawet w modlitwie jakoś nie znajdywała ulgi.

Ponuro czekała dnia, żeby mogła rozpocząć poszukiwania.

Sama musiała robić wszystko, bo teraz nawet Luiga nie było przy jej boku. Posłała go do Wiednia z powrotem, bo jej się zdawało, że Leonowi obecność jego była niemiła.

Była więc całkiem sama i na nikogo nie mogła liczyć.

Nie była bezradna.

Udała się na policję i podawszy opis męża, prosiła o zawiadomienie, gdyby znaleziono gdzie ślad jego pobytu.

Niezadowolona jeszcze udała się do najlepszych tajnych agentów Berlina i poleciła im, żeby nie szczędząc kosztów szukali jej męża.

Ze ścisłą dokładnością podała wszystko, co mogło ułatwić jego wyśledzenie, opowiedziała nawet dlaczego on znikł, żeby lepiej scharakteryzować jego osobę.

Obydwaj szpicle zapewnili ją, że go napewno wynajdą.

Mimo to Hortensja wróciła do hotelu wcale nie z różowymi nadziejami.

Po krótkim czasie odpoczynku wybrała się na nowo w drogę.

Nie chciała siedzieć bezczynnie i obcym tylko pozostawić poszukiwania.

W kilku biurach pośrednictwa zapłaciła pewną kwotę i wypytywała się, czy nie szukał tu poprzedniego dnia za posadą lub jakim zajęciem pan, wyglądający tak, a tak.

Wszędzie dostawała odpowiedź przeczącą i wychodziła z ciężkim sercem.

Wieczorem tego samego dnia zjawił się jeden ze szpiclów.

— Daruje pani, — rzekł — nie przychodzę jeszcze z dobrą nowiną co do pobytu męża pani, ale chcę jeszcze się dowiedzieć o niektórych rzeczach, o czym zapomniałem dzisiaj rano. Czy mąż pani miał przy sobie pieniądze?

— Nie — odpowiedziała Hortensja ze smutkiem — wiem z pewnością, że on przy sobie miał bardzo mało pieniędzy i tym więcej martwię się jego losem.

Hm, — zamyślił się szpicel — ale może miał przy sobie jakieś rzeczy wartościowe, które mógł sprzedać, może pierścionek, zegarek złoty albo szpilkę od krawatu.

— Nie — wyjaśniała Hortensja — on nie lubi żadnych kosztowności. Miał zegarek bardzo stary, pamiątkę rodzinną i obrączkę ślubną bardzo prostą, zwyczajną. Tego nie sprzedałby — przypuszczam nawet w największej biedzie.

— Niewiele by mu to zresztą przyniosło — dorzucił szpicel — i nie wystarczyłoby na to, żeby odbyć dłuższą podróż pierwszą klasą. A więc ślad, na który natrafiłem, nie jest ten sam. Dowiedziałem się mianowicie, że wczoraj pan jakiś, podobny do tego, którego pani opisuje, kupował bilet jazdy pierwszej klasy do Hamburga i zapłacił banknotem 500-markowym. Czy to nie jest możliwe, żeby to był ten sam, którego pani poszukuje?

— Z pewnością nie! — odpowiedziała stanowczo Hortensja — mąż mój owego dnia w kieszeni miał bardzo mało, a ponieważ zapłacił rachunek w hotelu, więc nie zostało mu prawie nic. Życzył sobie, abym ja przechowywała kasę naszą, bo nie chciał się tym zajmować. To wprost niemożliwe, żeby on miał 500 marek, bo z kasy naszej nic nie wziął, a krewnych żadnych, przyjaciół, ani nawet znajomych nie ma w Berlinie.

— Czy nie mógł sumy tej potajemnie zabrać kiedyś dawniej? — spytał ajent.

— Nie! — zapewniła Hortensja — sam by pan powiedział, że nie, gdyby pan go był znał przedtem.

— Jeżeli pani twierdzi z taką stanowczością — odpowiedział szpicel — to muszę uwierzyć, że ślad, na który padłem jest fałszywy i nie będę go dalej tropił tylko zwrócę się w inną stronę.

Pożegnawszy się, poszedł.

Nazajutrz rano zjawił się drugi agent.

— Miło mi — rzekł uradowany — że mogę pani przynieść wesołą nowinę. Mąż pani już jakby znaleziony.

Hortensja z bijącym sercem nagliła go, żeby mówił.

— W piątek po południu — opowiadał ajent — widziano w winiarni Kempińskiego jednego pana zupełnie podobnego do tego, którego pani szuka.

Hortensja była rozczarowana.

— To wprawdzie nie bardzo prawdopodobne — rzekła — ale proszę, niech pan mówi dalej.

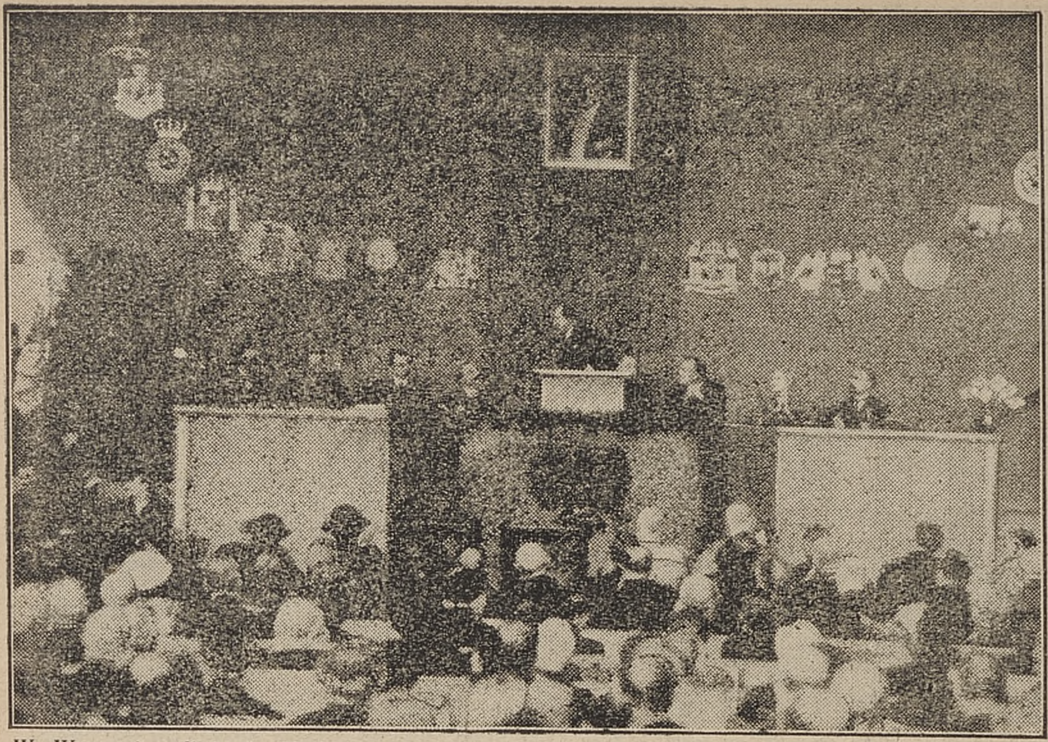
— Kelnerzy nie znali go, ale on był z drugim panem, którego w winiarni służba zna jako hrabiego Eryka Raucha. Hrabia cieszył się bardzo, że przed podróżą na tamten świat spotkał starego przyjaciela i kelner nie rozumiał, co hrabia rozumiał przez tę podróż na tamten świat i nie rozumiał także licznych toastów, na których cześć obydwaj panowie wychylali kieliszki. Potem hrabia zapłacił rachunek, a ten pan dał służbie suty napiwek. Czy pani znała dawniej jakiego hrabiego Eryka Raucha?

— Nie — odpowiedziała Hortensja ze smutkiem — nigdy o takim nie wspominał. Ale pewność chciałabym mieć, panie Strahl.

— Dziś jeszcze będzie — odpowiedział pewny siebie agent.

Poszedł i po kilku godzinach wrócił, ale z nosem spuszczonym.

— Widocznie — rzekł — służba w winiarni źle mnie poinformowała. Dowiedziałem się bowiem w mieszkaniu hrabiego Eryka Raucha, że już ośm dni temu wyjechał do Ameryki. To samo mi powiedział służący jego stryjka, który tu służy przy gwardii. Jeżeli więc on przed tygodniem wyjechał do Ameryki, to nie mógł jeszcze w piątek być u Kempińskie-



W Warszawie odbył się Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy. Na zdjęciu posiedzenie plenarne uczestników Kongresu.

go. — Ja proszę o wyraźną dyrektywę, czy mam dalej iść za tym śladem?

— I ja sądzę, że kelner w winiarni zażartował sobie z pana, albo dla zysku chciał pana oszukać — odpowiedziała Hortensja — niech pan lepiej zwróci swe poszukiwania w innym kierunku.

Strahl pożegnał się mniej pewny siebie, niż przedtem, a Hortensja pozostała sama.

Napróżno dzień za dniem czekała wieści od niego, napróżno oczekiwała skutków działalności agentów. Napróżno wreszcie sama całusieńki dzień czynna była bez wytchnienia, by go znaleźć. Nigdzie ani śladu. Przebiegała ulice miasta w nadziei, że go może przypadkiem gdzieś spotka. Płonne nadzieje. Zmęczona i znużona wracała wieczorem do rozpaczliwie pustych czterech ścian.

Poszukiwania agentów także były bez skutku.

Kilkakrotnie zdawało się, że już, już są na tropie i zawsze się okazywało, że ślad był mylny.

Straciła już nadzieję, że znajdą go między żyjącymi i szukali między ofiarami wypadków rozmaitych.

Ale i to napróżno. Tam go także nie było.

Tak mijał dzień za dniem, tydzień po tygodniu.

Hortensja straciła już wiarę w możliwość skutku usiłowań ludzkich i całą nadzieję pokładała w Bogu. Modliła się dzień i noc, żeby jej wrócił ukochanego, który jest światłem, słońcem jedynym jej życia.

Znużona na ciele i duchu wróciła do Wiednia.

Tam żyjąc w samotności, miała przynajmniej groby ukochanych rodziców.

Na cmentarzu mogła zmarłym spowiadać się ze swych bólów i tęsknot.

ROZDZIAŁ CXCV

Spuścizna zmarłych

Owego dnia, kiedy to Ilona postanowiła Wernera ukarać i nie dać mu nic jeść, nie dostał Werner nic prócz śniadania.

Czas, przez który był sam, poświęcał zawsze na to, ażeby prowadzić dalej żmudną i niewdzięczną pracę wydobycia ze ściany jednej płyty kamiennej.

Owego dnia robotę tę prowadził dalej. Łyżeczką wydłubywał ziemię i glinę z pomiędzy płyt kamiennych, a co wydłubał, chował pod łóżko.

Nareszcie udało mu się płytę wyjąć.

Położył ją na ziemię i zobaczył, że ona zamykała jakiś otwór.

Rzeczywiście w ścianie było zagłębienie i Werner zauważył w nim jakąś kasetkę.

Wyjął ją i otworzył.

Wewnątrz był sztucznie wykonany gorset i list jakiś.

Werner czytał z gorączkowym niepokojem.

A więc ona nie jest córką leśniczego, pomyślał i dziwnym mu się to wydało, że o tym dowiaduje się teraz, kiedy jest nędznym więźniem.

Uczucie jego dla niej nie mogło zmienić nic. Wszystko mu było jedno, czy ona była córką króla, czy żebraka. W każdym razie jednak obchodziło go wszystko, co się jej tyczyło.

Był to list, który pani Herbert napisała do Sylwii.

Werner przeczytał go raz jeszcze i litował się nad losem matki Sylwii, która umarła w tak młodym wieku.

Papierów żadnych, legitymacji żadnej nie miała? — myślał — może w gorsecie są? Tak często pokazywała na gorset.

Dziwił się tylko, skąd się to wzięło w tej kryjówce.

Ostrożnie położył płytę kamienną spowrotem na miejsce i zaczął rozpruwać gorset nożykiem, który miał od Ignacego.

Rzeczywiście w gorsecie zaszyty był papier.

Werner rozwinął go i czytał.

Był to akt ślubny, mocą którego stwierdzano, że hrabia Ernest Wildenstein i Desirée Saint-Cir pobrali się w Dormoille dnia 1-go kwietnia 1866 roku.

Werner był wzburzony.

A więc Sylwia na taki sposób była jego krewną?

Przypomniał sobie, że raz jako mały chłopiec, słyszał następującą rozmowę między dziadkiem a babką:

— Pomyślał sobie, mówił dziadek do babki, na jakie pomysły ludzie się biorą, żeby wyłudzić pieniądze. Pisze mi jakaś pani Hai z Wiednia, że u niej przez pewien czas bawiła niejaka hrabina Wildenstein i że została jej winna za mieszkanie i wikt. Oprócz ciebie nie ma żadnej innej hrabiny Wildenstein.

A co zamyślasz zrobić? — spytała hrabina Ruth.

— Nic, nie odpowiem wcale, rzekł na to stary hrabia — Werner pamiętał jak dziś, że tak było. Gdyby dziadkowie jego byli przypuszczali, że to nie oszustwo!

Pamiętał też, że zmarły hrabia Ernest chory był na płuca i wyjechał leczyć się do południowej Francji. O ożenku swoim nie zawiadomił pewnie rodziny dlatego, że obawiał się, że mu stryj nie pozwoli się żenić.

Zrozumiał też teraz Werner, skąd się te papiery tu wzięły.

Sylwia, jako hrabianka Wildenstein, była Egonowi groźną rywalką w drodze do uzyskania spadku. Miał więc widocznie postarać się o wyłudzenię z jej rąk tych dowodów.

Ale dlaczego ich nie zniszczył, tylko przechowywał tutaj?

Tego Werner nie pojmował.

Taki był zaaferowany, że nie czuł głodu, ani pragnienia. Przyjaciółka myszka zdziwiona przybiegła i patrzyła na niego, a widząc, że nie dostaje świeżej strawy, zabrała się do gryzienia starych okruchów chleba.

Chcąc dobrze ukryć cenny dla Sylwii dokument, zawinął go w rozprute kawałki gorsetu i włożył w słomę łóżka.

Zmęczony wreszcie, położył się i spał aż do drugiego rana.

We śnie widział młodą, przystojną kobietę, która patrzyła na niego melancholijnie dużymi oczyma i mówiła po francusku:

— Ty kochasz moją córkę! Zrób ją szczęśliwą! Pamiętaj, że to sierota bez ojca i matki.

Gdy się przebudził, czuł się jakiś rzeźki i ożywiony.

Po raz pierwszy w więzieniu przeżył chwilę przyjemną.

Łudził się teraz nadzieją, że znajdzie jakiś podziemny korytarz, który go wyprowadzi na świat i do wolności.

Rozmyślając tak, uczuł głód.

Ilona go zaniedbywała. Może w zamku byli obcy ludzie i wobec nich nie mogła przyjść, by się nie zdradzić?

W tej samej chwili otworzyły się u góry drzwi i krata spadła nad łóżko.

Oświecona silnie latarnią, ukazała się twarz Alojzego.

Spuścił się po drabinie w podziemie i zaczął zamiatać.

Bystry wzrok jego dostrzegł natychmiast, że Werner wyjął płytę.

Nic nie szkodzi — pomyślał dobrodusznie — jeżeli znalazł kasetkę i przeczytał list pani Herbert, to tajemnica pozostanie tu u nas.

Jeżeli chce pod ziemię uciec, to się myli. Będzie grzebał, aż natrafi na skałę i koniec parady. Tymczasem niech się cieszy.

— Czegoś się tak długo nie pokazywał? — przerwał mu myśli hrabia Werner tym zapytaniem.

— Leżałem chory w szpitalu — odpowiedział Alojzy, który się wstydził przyznać, że go pobili — i spytał zaraz.

— A jaśnie pan nie czuł mojej nieobecności? Mnie się zdaje, że niejeden młody pan byłby wolał mieć do usługi Ilonę niż mnie starego.

— To rzecz gustu — odpowiedział hrabia — co do mnie wiem tylko tyle, że od wczorajszego śniadania nie dostałem nic jeść.

— Przepraszam bardzo jaśnie pana, to się już nie powtórzy — przyrzekał Alojzy — ja myślałem, że Ilona pamiętała o tym.

— Coś mi się nie podoba ta wspólna wasza robota, zauważył Werner, raz jestem

głodny, to znowu dostaję podwójne porcje.

Alojzy zaczął go podejrzewać o miłostki z Iloną.

— Jaśnie pan może woli, żeby Ilona usługiwała? — spytał podejrzliwie.

— Przeciwnie — odpowiedział Werner — wolę ciebie, bo nie będziesz mnie zaniedbywał. Przynieś mi teraz śniadanie, bo jestem głodny.

Alojzy spełnił rozkaz.

— Co jaśnie pan jeszcze rozkaże? — spytał.

— Cóż z tego, że ci powiem, skoro nie usłuchasz — westchnął Werner — trzymasz mnie tu we więzieniu o wiele gorszym, niż najpodlejszego zbrodniarza.

— Ej, co też jaśnie pan mówi? — bronił się Alojzy — czyż nie przynoszę jedzenia na czas nie utrzymuję tutaj porządku?

— Powietrza, światła, ruchu! wolności! — zawołał Werner w najwyższym rozdrażnieniu — najgorszy zbrodniarz ma tę pewność, że kiedyś przecie odzyska wolność — ja nieszczęsny jej nie mam!

Najbiedniejszy żebrak, który nie ma co jeść, w co się ubrać, dachu nie ma nad głową, szczęśliwszy jest ode mnie! Daj mi wolność, a połowa mego majątku jest twoja! Puść mnie stąd! Wszystko sobie weź, wszystko ci dam, tylko wypuść mnie, wypuść z tego grobu!

— Wypuściłbym pana chętnie — mruknął ponuro Alojzy — ale nie mogę, bo mnie samego diabli by wzięli. Nie można panie hrabio, doprawdy nie można.

To rzekłszy wyszedł i udał się na poszukiwanie za tym kłusownikiem, z którym zrobił tak niefortunną zamianę.

Po drodze zobaczył ruiny spalonej leśniczówki i jakaś chłopka opowiedziała mu szeroko o pożarze, zniknięciu pieniędzy itd.

Alojzy słuchał z ponurą miną i zadawał jeszcze niektóre pytania.

Chłopka była zachwycona, że Alojzy, ten mruk, tak chętnie sobie z nią gawędzi i zaczęła wierzyć, że on nie jest taki zły człowiek, jak ludzie mówią.

Z prawdziwym zamiłowaniem opowiedziała mu wszystko i zakończyła:

— Ogień był podłożony, ale to nie leśniczy podpalił, choć za to siedzi w kryminale.

— Czy wszystko się spaliło? — spytał Alojzy.

— Wszyściuteńko — potwierdziła baba.

Alojzy pożegnał się i poszedł dalej.

Idąc, myślał sobie:

Dziwnie się to dzieje na świecie. Jeżeli w tej kasetce znajduje się jakiś papier, który może szkodzić baronowi, to on byłby wolał, żeby ona tam została na leśniczówce, bo byłaby się spaliła. Dobrze mu tak! Kto mu kazał, żeby ją wykradać stamtąd. Ale ciekaw jestem, kto podpalił?

Ilona! Na tę myśl zabłysnęły mu nagle oczy. Ukradła pieniądze, które się rzekomo spaliły i schowała je między owocami strączkowemi! Dlatego nie mogła mi się wytłumaczyć. Powiem jej to! Ona musi być w chacie cygańskiej.

Skierował tam swoje kroki, a idąc walczył z sobą i wahał się między nienawiścią, a miłością.

ROZDZIAŁ CXCVI

Mala dotrzymuje słowa

Hrabiowie Dornbruch przeprowadzili się do swego eleganckiego pałacu w Wiedniu, a państwo baronowie Sturmfederowie odprowadzili rodziców, z nimi pojechała także do Wiednia Mala Herz.

Gdy baronowa w dzień po przyjeździe udała się do teatru, Mala wysunęła się tylnymi schodami z pałacu, zakupiła



Te cztery piękne pieski wiedziały, że przed sfotografowaniem należy zrobić „przyjemny wyraz twarzy”.

wina, ciast i czekolady — i tak uzbrojona poszła do przyjaciółki, Janki.

Zapukała do drzwi.

— Kto tam? — zapytała ostro mieszkanka.

Mala otworzyła i wbiegła ze śmiechem.

— Jak się masz, Janka!? — wołała — co słychać?

Przywitała się z nią i obsypywała ją pytaniami.

— Czy stary Hai wisi jeszcze przy tobie?

— A, to ty! — odpowiedziała Janka z widoczną ulgą — dobrze żeś przyszła, pogadamy sobie. Nie mam nawet papierosa, żeby cię poczęstować. Powiadam ci, nie widziałam jeszcze takiego starego skąpca i sknery, jak ten stary Hai.

— To dlaczego nie puścisz go w trąbę? — pytała Mala, rozbierając się.

— Widzisz — odparła z widoczną przykrością — niestety, nie mogę. On wie coś o mnie, czemby mnie mógł unieszczęśliwić i takim sposobem jestem skrępowana. Ale co ty tu masz? — spytała, zmieniając niemiły temat rozmowy.

Ot, kilka drobnostek, w dowód przyjaźni — odpowiedziała Mala. — Ty mnie nie raz także przyniosłaś niejedno i pomagałaś. Pamiętasz jeszcze, jak sprowadziłaś mi żonę tego Mayera, żeby kupiła ode mnie garderobę?

— A, pamiętam! — przypomniała sobie Janka, ciekawie otwierając pakieciki.

— Wiesz ty, czem ten Mayer był z zawodu? — mówiła Mala.

— Nie — odpowiedziała Janka, zapychając się czekoladą.

— Stangretem, zaś żona jego wychowana była w domu dla podrzutków i służyła w kuchni dworskiej.

— Co ty mówisz!? — zawołała Janka — a to dopiero blagierzy! Przecież oni udawali wielkie państwo, a ona tytułować się kazała! Ja bym jej teraz dała, jakbym ją spotkała.

— Czego się znowu tak masz nią irytować? — uspakajała ją Mala — czy ona pisała kiedy do ciebie?

— Tak jest! — odpowiedziała Janka — była na tyle niemądra, że mi napisała, iż wyszła za mąż za hrabiego. Co za głupia blaga!

Po pierwsze, chciałabym widzieć tego hrabiego, któryby się z nią ożenił, a po drugie, żyje jeszcze jej mąż, i nie...

— Kłamie, naturalnie! — przerwała jej Mala — w Königswalden znana jest jej kłamliwość. Chciałabym przeczytać tę jej bazgraninę. Masz ten list od niej?

— O, tam leży na komodzie! — Niedawno go dostałam.

Mala wzięła jakiś papier z komody.

— Nie to, to nie to! — zawołała Janka — to rachunek od gospodyni za cały tydzień. Hai kilka razy go zawsze przeczyta zanim zapłaci. Powiadam ci, żebyś ty widziała, jak on się przebiera, gdy przychodzi do mnie. Nie do poznania!

Mala nie słuchała, bo miała w ręku list Zuzi i czytała go z takim zajęciem, że aż wypieków dostała na policzkach.

Szczęście i błogosławieństwo Boże, obok Willsenstown — zapamiętała sobie i zwróciła się do Janki.

— Nie mogłabyś zagotować trochę wody, żebyśmy się napiły ponczu? Przyniosłam wszystko, co tylko jest potrzebne do tego.

— Ale owszem! — zawołała Janka.

— Wiesz ty co? — rzekła Mala — zimno tu jest u ciebie. Postaraj ty się o wodę, a ja ci tymczasem zapalę w piecu.

— Dobrze! — rzekła Janka. — Wprawdzie mnie nie jest zimno, ale jak chcesz.

Wyszła po wodę.

Mala schowała pod gorset list od Zuzi i zabrała się do palenia, a gdy Janka wróciła z wodą, ogień trzeszczał już wesoło.

— Moja złota, nie gniewaj się na mnie — prosiła Mala — ale niechcąco zrobiłam ci może przykrość. Pomyśl sobie, ja z roztargnienia podpaliłam listem od Zuzi. Teraz jak zechcesz odpowiedzieć, nie będziesz miała adresu!

— Wielkie rzeczy! zaśmiała się Mala — ani mi w głowie odpisywać tej głupiej małpie. Szkoda papieru i znaczka.

— No, to dobrze, że się nie gniewasz. Odwdzięczę ci się za to. Mam od pani



W Berlinie odbyły się ćwiczenia obrony przeciwlotniczej. Na zdjęciu smugi świetlne reflektorów w poszukiwaniu „nieprzyjacielskich" samolotów.

hrabiny dużo koronek, piór i wstążek, daj mi swój kapelusz, to ci ubiorę.

— Od jakiej hrabiny? — spytała Janka.

— Przecież jesteś w obowiązku u baronowej Sturmfeder.

— Tak jest, powiedziała Mala — hrabina to jej matka, bardzo dobra pani.

— I dobrze ci u nich ?— pytała Janka trochę zazdrośnie.

— Nieźle!

— Ale to dowcipnie, że jesteś pod jednym dachem ze swoim kochankiem. Baron musiał się ucieszyć, jak ciebie zobaczył u swojej żony?

— Tak jest — odpowiedziała sucho Mala — najchętniej byłby mnie tam na miejscu zamordował. Żebyś ty wiedziała...

Na pobliskiej wieży zegar wybił dziewiątą. Mala musiała wracać do domu.

Janka pocieszała się po jej odejściu w samotności w ten sposób, że pchała w siebie łakocie, ile mogła.

. . . .

Wróciwszy do pałacu Dornbruch i przekonawszy się, że jej pani nie wróciła jeszcze z teatru, siadła Mala natychmiast i zaczęła pisać.

Szanowna Panno Herbert!

Właśnie wracam z wizyty u przyjaciółki mojej, Janki. Poszczęściło mi się. Dostała list od Zuzi, w którym ta podaje adres swego męża. List ten załączam dla pani. Skoro nadejdzie pani Mayer, wszystko zmieni się na lepsze, czego pani życzy z całego serca oddana

Mala Herz.

Skończywszy pisać, włożyła list do koperty, do której wsunęła także list od Zuzi i napisawszy na kopercie adres, dodała w rogu: polecony. Potem schowała to do kuferka.

Niebawem wróciła z teatru młoda baronowa Sturmfeder.

Zimne jej rysy były dzisiaj niezwykle ożywione.

W ręku trzymała różę na pół już zwiędłą i spoglądała na nią od czasu do czasu.

Mala od razu zorientowała się w sytuacji.

— Co za piękna róża, — podziwiała — czy mogę ją wstawić do wody?

— Można — odrzekła baronowa — czy pani hrabina śpi już? — spytała później.

Pani hrabina położyła się zaraz wieczorem. Pewnie już musi spać — odpowiedziała Mala.

— Szkoda — mruknęła baronowa — bardzo chętnie byłabym pogawędziła z mamą.

— Pani baronowa dobrze się bawiła? — spytała Mala z respektem.

— Ach, pysznie! ach, bosko! — zawołała baronowa z entuzjazmem.

— O! to coś nowego, pomyślała sobie Mala — pani baronowa dotychczas mówiła zawsze kwaśno: nieźle. Teraz mówi pysznie i bosko, o! musi być zakochana. Pan baron niech się ma na baczności.

Myśląc tak, zdejmowała swojej pani kolię z szyi i bransoletki z ramion, potem rozplatała jej bujną fryzurę i układała włosy na noc.

Baronowa siedziała przy lustrze i patrzyła na siebie z zadowoleniem.

Była piękna i piękność tę chciała utrzymać jak najdłużej.

Przypadkiem wzrok jej padł na Malę i zatrzymał się na niej.

Zdaje mi się, rzekła zdziwiona — że ty masz taką samą białą cerę, jak ja.

To tylko tak wygląda, odpowiedziała Mala — dlatego, że jestem ciemno ubrana.

Hm, mruknęła baronowa zadowolona z tego, że jej garderobiana ma takie skromne pojęcie o sobie, — a jakich ty używasz środków?

— Żadnych, odpowiedziała szczerze Mala, u nas zawsze była taka bieda, że późno w noc trzeba było pracować na suchy kawałek chleba, a nie dopiero na środki piękności.

— Że też są na świecie także biedaki, rzekła baronowa zwracając się i patrząc na Malę z takim wyrzutem, jak gdyby to ona była temu winna, że bieda na świecie.

Wyciągnęła się rozkosznie.

— Położę się zaraz, rzekła, najlepiej konserwuje się piękność w ten sposób, że się kładzie spać przed północą.

Mala milcząc pomogła jej się położyć i niebawem baronowa rozkosznie wyciągała się na łóżku i z otwartymi oczyma oddała się słodkim marzeniom.

Garderobiana także wróciła do swojej izdebki i cieszyła się w duchu, że nazajutrz jej pani przed dziewiątą nie będzie na nią dzwonić. Tak też było w istocie. Mala wyzyskała wczesny ranek na to, żeby pójść na pocztę i nadać list do Sylwii.

Recepis podarła na drobne kawałki na ulicy i wyrzuciła na cztery wiatry.

Wróciwszy do pałacu zdjęła w swojej izdebce płaszcz i kapelusz i zabrała się do zwyczajnej roboty.

Na drugi dzień Sylwia otrzymała list Mali i aż skakała z radości.

Poczciwa, mówiła wzruszona — nie wiem jak się odwdzięczę! Pan Bóg jej to wynagrodzi!

Przeczytała list po raz drugi.

Wilsonstow, szeptała — gdzie to może być? w której części Ameryki? nie spotkałam się jeszcze z tą nazwą.

Pobiegła na górę, gdzie siedziała jej matka z Idą i Albertyną.

Ze względu na tę ostatnią, która z dobrego serca nigdy nie mogła utrzymać nic w tajemnicy, nie zdradziła, od kogo list pochodzi, opowiedziała tylko, co zawierał.

Pani Herbert i Ida wiedziały od razu, od kogo list pochodzi, ale domyśliły się także, dlaczego Sylwia o tym nie mówi, Pani Albertyna zaś treścią tego listu taka była zaaferowana, że zapomniała o wszystkim.

— No, to szczęście, cieszyła się Herbertowa — że masz jego adres. A gdzie to jest to Wilsonstow?

Nikt z obecnych nie umiał na to odpowiedzieć.

Gospodyni przyniosła atlas i panie szukały bardzo pilnie, ale miasteczka na mapie nie znalazły.

Pewnie to małe bardzo miasteczko, zauważyła pani Herbert.

Albo może to miasto niedawno powstało, a karta jest stara, domyśliła się Ida. — Mapa ta jest sprzed dziewięciu lat. Jeżeli dostaniemy jakąś nowszą w Petershagen i tam nie znajdziemy, to musimy sprowadzić specjalną mapę z Wiednia.

Tak jest, zawołała Sylwia — natychmiast trzeba to zrobić.

Myśl o tym, że po długiej, a strasznie męczącej przymusowej bezczynności będzie mogła znowu coś zrobić dla Wernera, przebiegły jej nerwy iskrą elektryczną i wznieciła w niej na nowo całą dawną energię.

Chciała natychmiast wybrać się do Petershagen i zakończyła:

(Ciąg dalszy na str. 797).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

JESIEŃ

Nie śpiewa w górze skrowronek
ni złocą się łany kłosów...
bo jesień błądzi po rżyskach,
lśniących perlistą rosą...

Zabrzmiał gdzieś ton fujarki
na łące — podle borem —
i razem z wichrem wydzwania
jesienną pieśń wieczoru...

Smutek goni po ścierniskach,
wlecząc się za pługiem,
którym rolnik orze ziemię
przez cały dzień długi.

Biegną skiby po za końmi,
czernią się wśród mgły,
która błądzi nad polami — —
niby złote sny...

Hej, otwieram ja ci ziemię
i przywalam w - krąg ścierniska
i nie spocznę — póki słońce
nie opadnie nisko...

Lato zgasło pocichutku,
nad jesienno - złotym brzegiem —
ziemię pługiem rozoraną...
szron pokryje srebrnym ściegiem...

— — — — — — —

Zbyt prędko mknie radość życia,
zbyt prędko nadszedł wrzesień...
Radością życia jest — wiosna,
a jej wspomnieniem — jesień...

Jan Feliks Płóciennik

CO PISZE O SOBIE...

„Księżniczka Lina". Oto co pisze o sobie nowa nasza Sympatyczka; do której zwracałam się w numerze poprzednim, a która dziś dopiero przedstawia Wam się, Drodzy Moi „Krainiacy".

„Już dawno pragnęłam należeć do tej wielkiej rodziny, w której jedni — drugim pomagają współczuć — i jedni — drugim łagodzą troski i bóle życiowe. I oto, do tak miłej „Rodzinki" i ja „Księżniczka Lina" — należę. Według zwyczaju przedstawiam się: Jestem brunetką o marzących niebieskich oczach, — strasznie „dziką" i roztrzepaną. Ale to chyba nic nie szkodzi, bo jestem jeszcze młodą i, co za tymi dzie, morową dziewczyną. Z zamiłowaniem uprawiam sport — gram dobrze w siatkówkę, strzelam świetnie i jeżdżę konno. Uwielbiam muzykę, taniec i wesołe towarzystwo. Mieszkam na wsi w pięknym, białym dworku otoczonym parkiem i wodą. Największą moją przyjemnością jest przesiadywać wieczorami w parku i... marzyć... Kocham te chwile! Czuję się jak królewna zamknięta w zamku, lecz — brak mi królewicza! Czy znajdę go w „Białym Zwidzie", w „Samotnym Sfinksie". A może w kim innym? Odpowiedź na nadesłany liścik będzie murowany. Kończąc pozdrawiam: „Kopciuszka" i „Czarnooką Wandę".

PRZYJMUJĘ

„Bajkał". Przyjmuję Panią do „Krainy" pod powyższym pseudonimem. Cieszy mnie niezmiernie, że pismo nasze jest tym szukanym przez Panią i że daje Jej tyle zadowolenia. A teraz przedstawię Panią moim „Krainiakom".

„Bajkał" jest szatynką, średniego wzrostu, oczu szarych.

Pragnie korespondować — niekoniecznie z mężczyzną — ot, z jakąś panienką mieszkającą na prowincji, która wie, co znaczy nuda w małym miasteczku.

Bardzo prosi „Krainiaków" o pamięć.

KOMU ŻYCZY?

„Samotna Rusałka". Można zawsze skreślić do mnie, nie kilka, a całą masę słów! Prośbę Pani wypełnię dokładnie i z przyjemnością. Za łaskawe słowa uznania i pozdrowienia dziękuję w imieniu moim i Wujka Janusza. Mam wrażenie, że rozpieszcza nas Pani zbytnio słowami nadzwyczajnego uznania. Postaram się nie zawieść zaufania Twego i być zawsze i dla wszystkich bardzo wyrozumiałą i życzliwą.

A teraz przedstawiam „Krainiakom" naszą nową siostrzyczkę.

Jest ona miłą, wesołą a nawet wcale ładną czarnulką. Z życia przeważnie bywa zadowoloną, nie licząc tych chmurek przelotnych, co chwilami zaciemniają jasny horyzont życia. Zresztą nie ma wszak nieba bez chmurek, jak nie ma życia bez choćby chwilowych trosk — więc się tak znowu nie należy tym przejmować. A nasza Rusałeczka tak właśnie postępuje. Pracuje, śpiewa, odbywa w wolnych chwilach długie spacery pieszo i na rowerze i, jak u mnie, Boga chwali. Dobre i wesołe z niej Dziewczątko.

Tym, którzy zechcą do niej napisać z miejsca życzy najlepszego, a tym którzy nie napiszą — życzy równie serdecznie. A wszystkich pozdrawia i całuje na odległość!

PIEŚŃ WIECZORNA

Za brzozowy gaj daleki
zaszło złote słońce.
Już pastuszek modlitewną
piosnkę swoją kończy...

Już ustała praca w polu,
skończył się dzień długi —
ciągną konie z pola pracy
rozdzwonione pługi.

Dzwonek na kościelnej wieży
na modlitwę woła...
po czym wkrąg zaległa cisza
wśród wiejskiego sioła.

*

Już z nad lasu księżyc wyjrzał
srebrnym blaskiem płonie,
a po rosie płyną dźwięczne
pastuszkowe tony...

Młode dziewczę — zasmucone
stoi nad jeziorem
i wsłuchuje się w melodię
późnego wieczoru.

Stoi blada, a po licach
cicha łezka płynie...
nie płacz serce, bo nie warto,
smutek wnet przeminie...

— — — — — —

Stoi dziewczę nad jeziorem,
nad czymś zadumane —
jakby w poszept łąk wieczornych,
w ciszę — zasłuchane...

Jan Feliks Płóciennik

ADRESY

„Ryśka D." Proszę Panią o podanie adresu, gdyż wysłany na poste - restante list zwrócił się jako niepodjęty w terminie.

WPADASZ W PESYMIZM

„Samotna Oleńka". Mądrze piszesz, czytam to z przyjemnością:

„Szeroki, świetny świat zdala jest tylko piękny, — kusi czymś rozkosznym, nieznanym, mieni się kolorową tęczą, a po przyjrzeniu mu się bliższym, dokładniejszym — blednie i niknie.

Ot, zwykła kolej rzeczy — zawsze i wszędzie rozczarowanie.

Trzeba mniej marzyć, upiększać, a życie stanie się znośniejsze. Nie będzie tyle przykrych chwil i tyle potarganych złud".

Dobrze mówisz, Dzieciaku, lecz niektóre z Twoich poglądów należałoby jeszcze poddać rewizji i gruntowniejszej krytyce.

Zostawiam to na później, na wtedy, gdy znajdziesz się znowu w otoczeniu bliskich Ci i drogich osób, za którymi tęsknisz i których Ci potrzeba tak dalece, że wpadasz z braku ich w smutek i po trochu pesymizm. Wówczas niektóre z gorzkich słów przekreślisz samorzutnie i napiszesz mi trochę inaczej. Prawda — Droga Oleńko? Oczywiście, że umieszczę Twoje komunikaty. Czynię to od razu:

„Halo! „Te — Em" — pozdrowienia odwzajemniam. Pali mnie ciekawość, czy naprawdę odkryłeś moje incognito — bardzo wątpię, raczej się mylisz. Napisz w „Krainie" pierwsze litery imienia i nazwiska, wtedy uwierzę. Czekam!

„Gorzki Orzechu" — gdzie się obracasz i co porabiasz? Tak dawno już nie pisałeś, a ja wciąż czekam daremnie. Przyjmij moje pozdrowienia.

„Smutny Fel" ze Żnina". Oj, Chłopczyku tak nie należy postępować, to nieładnie, a nade wszystko nie wypada. No, ale ja wybaczam tym razem.

„Lordzie Stephensonie" — co Ty porabiasz w Poznaniu, czy odebrałeś liścik z poste — restante? Śliczne pa!

„Dzinko" — Dziewczynko Droga, za Twe dobre, miłe słowa ściskam łapki, a buzię całuję. Dziękuję niemniej za wierszyk. Czy mogę napisać do Ciebie na stary adres? Odpowiedz proszę szybko — ja czekam!

A Ty „Cyganko ze smętnymi oczyma", długo jeszcze będziesz milczeć? Na moją prośbę wcale nie zareagujesz?

Pozdrawiam i zasyłam uściski dla całej „Krainki".

CIEKAWAM

„Wiarus — Murzynek". Otrzymał Pan wysłany onegdaj liścik? A „Gród Lecha", czy pocieszył się już po chwilowej stracie swej nieocenionej rabiaty? Spodziewam się!

„Cóż, wyhuczały armatki, wygrzmiały „haubice" dobry stopień dla egzaminowanego? Ile belek przybyło miłemu żołnierzykowi? Taki dzielny Chłopiec musiał chyba wspaniale wywiązać się z wymagań zwierzchników.

Chętnie otrzymam znowu kilka dziarskich słów od Pana „Wiarusie — Murzynku", a na razie kontentuję się przekazaniem pozdrowień dla „Krainiaków", a uścisków i dla „Dzikuski". i życzę Mu miłej korespondencji z jej członkami. Wierszyk Pana oddałam do Teczki Wujka Janusza.

PRZECIWNIE!

„Żołnierz z grodu Lecha". Ależ naturalnie, że daję Panu całkowite absolutorium za obietnicę poprawy na przyszłość. Uzurpacją, o której mowa — jest wcale miła i nie mam o nią absolutnie pretensyj, przeciwnie, lubię ludzi tak śmiałych i wymownych, jakim się okazuje Pan, Miły Panie Żołnierzyku! Proszę tylko pamiętać o danej obietnicy, a będę zupełnie zadowoloną z Pana, jako jednego z miłych sercu memu „Krainiaków".

Ciekawa jestem, czy nawiązałeś już miłą i przede wszystkim ciekawą korespondencję z Sympatykami „Krainki"? Sądzę, że tak — bo jakżeby nie pamiętano o chłopcu tak miłym, wesołym i inteligentnym!

Nie sądzę, aby przykrość wyrządził komukolwiek świadomie i Panu chyba jej nie wyrządzono? Nie chciałabym tego dla Pana. Proszę napisać nam szybko o sobie dużo, dużo, a na razie przyjąć miłe uśmiechy od całej „Krainki".

ODDAŁAM...

„Inwenalis". Przyjmuję Pana do „Krainki" i życzę Mu miłej korespondencji. Wierszyk Pana oddałam do Teczki Wujka Janusza, gdyż należy się jemu z urzędu i powołania. Jaka wypadnie ocena — nie wiem.

Ciekawam, czy u Pana w Zaleszczykach są obecnie również takie zimna i deszcze, jak tu w naszym mieście? Przypuszczam, że raczej nie. Proszę mi to oraz dużo innych ciekawych rzeczy napisać. A na razie pozdrawiam serdecznie.

NIE MA MOWY!

„Margaretka" i „Biała Kalia". Dwie moje miłe Dziewczynki — słusznie zauważyłyście, że długo musiałam czekać na podanie Waszego adresu, ale że sprawę wyjaśniłyście należycie, więc uważam Was za wytłumaczone i o braku dobrego wychowania absolutnie nie ma mowy. Wierzyć mi możecie, Moje Drogie Przyjaciółeczki, bo nie lubię wyrzucać słów na wiatr.

A jak udały się Wam dożynki — czy tańce narodowe, korowody, i uscenizowane piosenki wypadły tak, jak to sobie życzyłyście? Chętnie wierzę, że taka wesoła, zgrana kapela gra „że w niebie słychać". Życzę też Wam wiele przyjemności i zadowolenia w aranżowaniu żywych obrazów i Waszych amatorskich przedstawień.

Ponadto w imieniu Waszym pozdrawiam „Dzinkę", którą poznałyście z fotografii i ponoć przypadła Wam bardzo do serca. A „Poganinowi z Pałuk" przekazuję Wasze pozdrowienia i uścisk dłoni.

CIESZY MNIE!

„Fakir". Zadowolona jestem, Drogi Panie, że postanowiłeś pisać mi obszernie i szczerze o wszystkich swoich radościach, kłopotach i w ogóle refleksjach na wszystkie nasuwające Ci się tematy. Banalne, to Pana listy nie bywały, ale cieszy mnie, że teraz postanowiłeś Pan jeszcze poważniej rozmawiać ze mną.

Czy ja tam znowu tak bardzo potrafię podejść do każdego człowieka, do każdej ludzkiej duszy, to nie wiem, ale że staram się bardzo — wyznać mogę.

I ja dałabym dużo za to, gdybym mogła widzieć wokoło siebie same tylko szczęśliwe i uśmiechnięte twarze, lecz tego świat nigdy nie dokaże, jak nigdy nie obędzie się roślina bez wody.

Dziękuję Panu za zjednywanie prenumeratorów naszego tygodnika — to takie miłe z Pana strony!

Na przyszły raz pogawędzimy sobie znowu serdecznie, a teraz pozdrawiam Pana i umieszczam Jego komunikaty.

„Dumko" — dziękuję za te kilka słów z Warszawy!

„Miko — Milutki Urwisie" — nastąpiło już pożegnanie z Uniwerkiem? Chciałbym jeszcze kiedyś z Panią zatańczyć. Może w Puszczykowie?

„Steniu z Rogoźna!" Gniewasz się na mnie? Zdaje się, że wytarganie mi uszu sprawiłoby Ci prawdziwą satysfakcję — nie uważasz? „Złote Słoneczko". Zaznaczam, że korespondencję prowadzę zawsze swobodną i szczerą, ale żeby wyłącznie o George'u?... Może jednak prośbie Pani uczynię zadość.

„Zbijobruku — poznański" — diabli wiedzą kim jesteś — Urwiszu! Musisz mi zdradzić, inaczej — dowiem się sam! Jestem już na tropie, choć niepewnym, Mi..!!

„Złote Słoneczka z Pomorza". Pozdrawiam i przepraszam, że prośbie dotychczas nie uczyniłem zadość. Bardzo proszę o liścik!

„Czarnemu Hajduczkowi" odwzajemniam się pozdrowieniem i proszę o pamięć!

Halo! Opalenica!

Loś H. Zapraszamy Ciebie również do wzięcia udziału w życiu „Rodinki" Gościnne wrota „Krainy" wpuszczają chętnie rozumnych, ładnych chłopców — w dodatku idealistów — prawda Mateczko i wszyscy „Krainiacy"?

Może ukażesz się nam na zdjęciu w „Krainie", a spowodujesz tym zamęt w obozie płci pięknej...

P. Bronku P. — proszę przyjąć moc życzeń od kogoś, kto był na zjeździe Śpiewaczym w Opalenicy.

Moc serdecznych pozdrowień zasyłam pp. Pewińskim, a p. Helutkę proszę gorąco o liścik.

JEDEN DUŻY — DRUGI MAŁY!

„Pat i Patachon" — są stałymi Czytelnikami „Moich Powieści". Szczególną ich uwagę zwróciła na siebie „Kraina Szczerości i naszych trosk", przeto za moim wstawiennictwem starają się o uzyskanie członkostwa w „Krainie", na którym ogromnie im zależy. Uważają słusznie, że nie mogą należeć do tej — jak piszą — szczęśliwej „Rodzinki", złożonej z obywatelek i obywateli całej Polski, od morza po strzeliste wierzchołki Tatr.

Posłuchajcie ich osobistej — oczywiście pisemnej — prezentacji:

„Jest nas dwóch. Jeden duży, drugi mały. Nie w cywilu i nie na ekranie, lecz w wojsku. Na armacie jeżdżą sobie Wasi, o „Krainiacy"! przyjaciele.

Komu z Was zależy na dobrym i zdrowym humorze, niech napisze do „Pata" albo „Patachona", a na pewno będzie zadowolony.

„Pat" pragnie nawiązać korespondencję z „Królową Gizellą", „Białą Uajali", „Renią z Kolna oraz „Maleńką Lusią", ale brak mu odwagi (jest bardzo wstydliwy), więc może wymienione panie będą łaskawe pierwsze kilka słów napisać?

„Patachon" szuka towarzyszki nie za dużej i nie za małej. Specjalną sympatią obdarza „Sentymentalną Lusienkę", „Modrooką Gerri" i „Zadumaną Dusię", którym przesyła uściski i pozdrowienia!"

Życzę Panom dużo miłej korespondencji i proszę o długi list z opisem życia żołnierskiego i przyjemnego (czyżby?) zwiedzenia „paki", bo bez „paki" chyba nudziłoby się Wam życie?... Czołem!

Teczka Wujka Janusza

U PROGU JESIENI

Mojej duszy jest tęskno, jest smutno
Bo już lato przebyło swą drogę,
Świat poszarpał, jak szarym jest płótno
Jesień idzie, stanęła przed progiem.

Proszę spojrzeć na pola, wokoło
Już nie dojrzysz ni zboża ni łanów,
Już ptaszęta nie nucą wesoło —
Coraz chłodniej jest nocą i rano.

Czemuś słońce ostygło, przygasło,
Już nie grzeje jak kiedyś, jak latem,
Jesień rzuca swe prawo, swe hasło —
Złotem liści umaja świat, chaty.

Tadeusz Rawicki.

PRZYCZYNA NIEISTOTNA

„Stella Maris". Pragnę, aby nie rezygnowała Pani tak łatwo z pisania wierszy, a może tak Pani tylko mówi, aby mnie zasmucić? Jeżeli tak, to efekt jest ogromny, gdyż smucę się rzeczywiście. Przyczyna podana przez Panią wydaje mi się zbyt błaha, aby mogła zaważyć na szali.

W ogóle w ostatnim liście zbyt dużo wynajdujesz przeróżnych trudności. Pisała bym, ale... pozdrowiła bym, ale... I tak przez cały czas rozmowy ze mną.

Pewnie, że jest mi to przykre — bardzo przykre! Proszę się poprawić, „Stello Maris"! Liczę na Pani dobre serce.

A teraz przedrukowuję Pani komunikaty:

„Czarnulko z Grudziądza" — serdecznie dziękuję Ci za pozdrowienia. Przyjm równie ciepłe ode mnie. A może napiszesz?

„Bajce", „Etiopce", „Tu - Ryszardowi" dziękuję za pamięć i pozdrawiam mile. Żałuję, że mnie z Wami nie złociło morskie słońce. „Skrobnijcie" do mnie, Miła Dwójko, bo jednej osoby to jestem pewna.

„Romantyczny Śpiewaku", jeśli się interesujesz daną osobą, to wiesz, co trzeba uczynić!

P. Feliksowi Płóciennikowi ślę wiele serdecznych pozdrowień i uznanie za cudne wiersze oraz zdradzam pragnienie korespondowania z Nim. Oddaję mu palmę pierwszeństwa. Biały Zwidzie" — jestem zachwyconą Pana wierszami. Proszę przyjąć słowa uznania.

SZYBKO JUŻ...

„Biała Uajali". Wiersz Pani „Apaisement" nie jest tak dobry, jak szereg innych, drukowanych tak często w naszym piśmie. Lecz sądzę, że szybko już nadeślesz do „Teczki" takie, które zachwycą mnie z miejsca i wykluczą najdrobniejsze bodaj słowo krytyki.

Życzę Pani dużo pomyślności na nowym miejscu pobytu i pozdrawiam serdecznie.

„APAISEMENT"

Przyszłaś cicha — cudnym spokojem owiana...
Na skroń mą kładzież swoje dobre ręce,
Uciszasz serce smutkiem skołatane,
Dajesz wytchnienie po bólu i męce.

Mówisz mi... słucham i wierzę gorąco,
Że tam już ból mnie dosięgnąć nie zdoła,
Że tam jest cisza błękitem drgająca..
Że tam mnie radość otoczy wokoło.

Idę za tobą... i nic się nie boję.
Ufam ci, wierzę, że skrócisz cierpienie
Ty, co u wezgłowia mego łoża stoisz
Biała i cicha... zwąc się „Ukojenie".

— — — — — — — — —

Więc kiedy przyjścia Twego nastąpi znów moment...
Zabierz mnie z sobą w drogę, dobra „Apaisement".

„Biała Uajali".

WOLAŁBYM...

„Ciemnooka Irka". Wierszyk nadesłany mi przez Panią jest, niestety! zbyt słaby, abym go mógł zaawansować do druku. Może inny będzie szczęśliwy. Może mi Pani wierzyć, że wolałbym go raczej ocenić na plus niż negatywnie, ale przecież muszę odrzucić od siebie osobiste sympatie i obiektywnie patrzeć na utwór, a nie na człowieka, który mi go przysłał.

Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i odwzajemniam je jak najbardziej szczerze. Życzę ponadto pomyślności w wiadomej sprawie.

KOMU SIĘ ZWIERZYĆ?

Komu się zwierzyć z swych myśli i marzeń,
Komu powiedzieć o swojej tęsknocie,
Co przyjdzie nagle w jakiś cichy wieczór
I serce, duszę tak nagle omota?...
Komu się zwierzyć z swych przeróżnych wrażeń,
Które się jasnym płomieniem wciąż świecą?...

I nie chcą zgasnąć... Wciąż same wrażenia
Miłe, lub takie, żebyś przekląć chciał,
Takie, co tylko są tobie cierpieniem,
Których tyś w życiu także wiele miał.

Komu się zwierzyć z myśli, złotych snów,
Komu powiedzieć, kto tu dzisiaj był,
Komu poskarżyć się, że zły los znów
Śmiał się dziś z ciebie — i z ciebie dziś drwił?...

Komu powiedzieć, że koniec kochania,
Że przyszło nagle to, co szczęściem było,
Że przeszła miłość i zadrwiła z ciebie?...
Komu powiedzieć o tym, co dziś śniłeś,
O tym, że pragniesz być jeszcze szczęśliwy,
Komu, ach — komu?... Czekasz tyle niedziel.

Tadeusz Multański.

A NAM?...

Tadeusz M. Wierszyk Pana „Komu się zwierzyć" bardzo mi się podoba. Z przyjemnością umieściłem go na łamach naszego pisma.

„Komu powiedzieć, komu się zwierzyć"... A mnie, a p. Zofii niełaska? Wszak Pan i tylu innych wie, że sercem całym przyjmujemy Wasze myśli i zwierzenia. Że są one nam drogie i ważne — niczym skargi i ciche zwierzenia osób najbliższych krwią i duchem. Więc winniście wiedzieć komu powiedzieć o swej tęsknocie, „co przyjdzie nagle w jakiś cichy wieczór i serce, duszę drapieżnie omota".

Szczera wiecie to i rzeczywiście stosujecie. A to, że wiersz Pana tak cicho skarży się, łka, żali — to jeszcze nie dowód, że odeszłeś od nas. Przeciwnie, nam go przysyłając dowiodłeś, że właśnie do nas podchodzisz i z nami się wiążesz sympatią.

Raj kobiet



Tegoroczna moda jesienna przynosi Panom szereg nowości. Na zdjęciu naszym widzimy płaszcz z materiału w kratę i z diagonalu. Dalej ubranie sportowe w kratę z miękkim, grubym pulloverem i kolorową koszulą, najchętniej noszone garnitury dwurzędowe oraz jednorazowe, zapinane na 3 guziki. Te ostatnie są przewidziane raczej na popołudnie i głównie faworyzowane przez panów, odznaczających się dobrym gustem.

Dzieje ekscentrycznej Angielki

Kiedy przed kilkudziesięciu laty córka pastora pewnej parafii w okolicach Londynu wstąpiła do teatru, krewni i znajomi odwrócili się od niej z oburzeniem. W owych czasach, zwłaszcza w wiktoriańskiej Anglii, aktorki uważano niemal za kobiety upadłe. Panna z porządnego domu, co gorzej, córka duchownego, aktorką — to był poprostu skandal.

Ale już wtedy kobieta urodziwa, a ponadto sprytna znajdowała nieraz w teatrze sposobność zrobienia kariery, o której nie mogłaby nawet marzyć, gdyby przykładnie i skromnie czekała na męża w domu rodzicielskim. Podrzędna aktoreczka małego teatrzyku niedługo wytrwa na scenie: wkrótce potrafiła usidlić człowieka zamożnego i na poważnym stanowisku i wyszła za niego. Przeżyła z nim dziesięć lat.

Lecz nie czuła się zadowoloną. Uważała, że zasłużyła na coś więcej. Toteż kiedy trafiła jej się odpowiednia okazja, skwapliwie z niej skorzystała. Po dziesięciu latach rozwiodła się z mężem i poślubiła lorda Byrona, dziedzica tytułu wielkiego poety.

Z tym drugim mężem żyła długo stosunkowo zgodnie, jeżeli nie liczyć sporów, które wynikały na tle politycznym. Lord Byron nie był oczywiście, zachwycony działalnością swej małżonki, namiętnej sufrażystki. Wraz z innymi bojowniczkami spraw kobiecych lady Byron lała klajster do skrzynek pocztowych i obrzucała kamieniami samochód Asquitha, ówczesnego premiera.

Sufrażystki żywiły do Asquitha nieubłaganą nienawiść za jego stanowisko wobec ich żądań. Liberał, Asquith stanowczo sprzeciwiał się przyznaniu kobietom praw wyborczych. Kto wie, czy nie mścił się w ten sposób na rodzie niewieścim za to, co cierpiał w domu. A może po prostu z przerażeniem myślał, że jeżeli kobiety uzyskają dostęp do życia politycznego, nie będzie się już miał gdzie ukryć przed swoją żoną, która trzymała go już nie pod pantoflem, lecz pod całym butem.

„Jeszcze tylko tego brakowało" szeptaał znosząc zapewne ciągłe gderanie żony, „żebym nawet w parlamencie nie miał chwili spokoju. Bo przecież, jeżeli kobiety będą mogły posłować, to chyba ona pierwsza zdobędzie mandat".

Czy lord Byron tak samo trząsł się przed swoją żoną? O tym historia milczy. W każdym razie wytrzymał z nią aż do śmierci.

Coś jednak musiała mieć ta kobieta, co nagradzało jej wybryki, kaprysy i chęć narzucania zawsze swojej woli, jeżeli po śmierci lorda Byrona znalazła jeszcze mimo podeszłego wieku, trzeciego męża i to nie byle jakiego, mianowicie bajecznie bogatego lorda Houstona, właściciela przedsiębiorstwa okrętowego.

Ile lat liczył sobie pan młody, nie wiadomo, ale panna młoda na pewno przekroczyła siedemdziesiątkę.

W dwa lata po ślubie lord Houston umarł i pozostawił żonie z górą 7 milionów f. szt.

Od tej chwili datuje się najosobliwszy okres życia eks-aktorki. Przez dziesięć lat, tj. do samej śmierci, ta stara kobieta niestrudzenie zadziwiała Anglię ekscentrycznymi wyczynami.

Znalazła się nawet z tego powodu w poważnych opałach. Powstały wątpliwości co do stanu jej władz umysłowych i groziło jej zamknięcie w zakładzie dla obłąkanych. Potrafiła się jednak obronić i z zapałem oddała się oryginalnemu sportowi — atakowaniu ministrów.

„Powiedzcie Baldwinowi, że już czas, by się wyniósł".

„Nie pozwólcie Edenowi hańbić Anglii w Genewie".

„Precz z rządem narodowym".

Takie napisy, często z dodatkiem karykatur, widniały na plakatach, które w każdą sobotę ukazywały się na ulicach Londynu. Były to afisze tygodnika „Sunday Review", który lady Houston kupiła, aby prowadzić na jego łamach zaciekłą walkę z rządem.

Co mu zarzucała i do czego dążyła? Właściwie zapewne uprawiała opozycję dla opozycji. Zajmowała niby stanowisko skrajnie prawicowe, ale cały jej program polityczny był nader mętny. Ambicji, energii i ogromnym środkom materialnym nie odpowiadały odpowiednie zdolności.

O chaosie, jaki panował w tej głowie, świadczy chociażby taki szczegół: ta głosicielka poglądów ultrareakcyjnych dała swojemu wspaniałemu jachtowi nazwę „Wolność". Co prawda w życiu także domagała się wolności, ale — tylko dla siebie.

Zaraz po śmierci lorda Houstona wynikł na gruncie swoiście pojętej „złotej wolności" konflikt między buńczuczną lady, a rządem.

Podatek spadkowy jest w Anglii progresywny, przy takim wielkim majątku, jaki odziedziczyła lady Houston powinien był wynieść przeszło połowę spadku. Ale lord Houston był przewidujący: ulokował swoją fortunę na wyspie Jersey. Wiedział po co to zrobił: Jersey należy wprawdzie do Anglii, ale obowiązują tam dotąd stare ustawy francuskie, a ustawodawstwo angielskie nie rozciąga się na tę wyspę. Przywiązanie Anglików do tradycji stwarza różne, podobne anomalie.

Powstała więc taka sytuacja, że minister skarbu — był nim wówczas Winston Churchill — nie miał żadnego legalnego sposobu ściągnięcia od lady Houston ogromnego podatku spadkowego. A dobrowolnie spadkobierczyni nie chciała pozbywać się milionów.

Nagle, pewnego dnia zmieniła zdanie, przybyła do ministerstwa finansów, kazała się zaprowadzić do samego ministra, wyprosiła z gabinetu obecnego tam wiceministra i przez dwie godziny prawiła ministrowi morały.

Cóż, kiedy się na wstępie powiedziało, że się przyniosło czek na półtora miliona f. szt., można sobie na dużo pozwolić. Churchill ze względu na czek zniósł to dwugodzinne mycie głowy. W nagrodę zainkasował półtora miliona.

Mniej niż się należało, ale przecież faktycznie mógł nic nie dostać.

A po kilku latach, ta kobieta, która nie zapłaciła całości należnego podatku chciała podarować państwu 200 tys. f szt. na potrzeby armii i floty. Pragnęła je wręczyć osobiście ministrowi finansów, którym był już wtedy Neville Chamberlain. Ale ten nie udzielił jej audiencji, tak, że musiała wyrzec się zamiaru „natarcia mu uszu" jak Churchillowi. Co więcej, kiedy wysłała pocztą czek na 200 tys. f., Chamberlain odesłał jej go, zaznaczając, że państwo nie potrzebuje jałmużny.

Jak już wspomnieliśmy, w ostatnich latach eks-aktorka zabrała się na dobre do polityki i w związku z tym kupiła tygodnik „Sunday Review". Tak wielka była żywotność i energia tej ciekawej kobiety, że ni stąd ni zowąd, mając już osiemdziesiąt lat, ekscentryczna milionerka zadebiutowała w roli publicystki. W każdym numerze „Sunday Review" ukazywał się jej artykuł, groźny i lapidarny. Z sensem było gorzej. Trudno — ambicja, ruchliwość, a nawet miliony nie mogą zastąpić innych walorów potrzebnych politykowi i publicyście.

Ale w braku laurów krzykliwa lady zdobyła popularność, jako jedna z najoryginalniejszych postaci londyńskich, tym bardziej, że niektóre z jej złośliwych uwag o ministrach były naprawdę dowcipne.

Przed śmiercią lady Houston urządziła jeszcze jeden, pożegnalny kawał. Zapewne szło jej o to, aby nie zapomniano o niej zbyt prędko. Nie miała dzieci i nie zostawiła testamentu. Niektórzy pretendenci do wielkiego spadku twierdzą, że sporządziła testament, lecz złośliwie schroniła go w jakiejś skrytce. I szukają go niestrudzenie. Jeżeli nieboszczka widzi to z tamtego świata, musi być zadowolona: jeszcze po śmierci robi trochę zamieszania na świecie.

Rudowłose są najlepszymi ekspedientkami

Ale w Stanach Zjednoczonych...

Dyrektor pewnej wielkiej firmy nowojorskiej podał w dziennikach ogłoszenie następującej treści: „poszukujemy ekspedientek; nie zgłaszać się, o ile kolor włosów nie jest rudy!" Dziennikarze, wietrząc sensację, oblegali dyrektora, zasypując go pytaniami.

„Dlaczego właściwie chce pan angażować tylko rude ekspedientki?"

Dyrektor objaśnił: „Personel rudy wybornie nadaje się do tego fachu. Rudowłosa sprzedawczyni jest energiczna, wykwalifikowana i wytrwała, a przy tym jest zawsze uśmiechnięta. Obroty w jej dziale są zawsze o 50 procent wyższe niż w działach jej koleżanek blondynek lub brunetek".

Twierdzenie to, zdaniem dyrektora, było rezultatem długoletnich obserwacyj. Toteż sława rudowłosych ekspedientek rosła, jak na drożdżach. Klientela chciała kupować tylko u rudowłosych. A jaki był rezultat tej całej kampanii: oto w ciągu całego tygodnia wszyscy fryzjerzy „fabrykowali" rudowłose w wielkich ilościach.

Był to mały rewanż dla biednych, zwykle mało popularnych, „marchewek".

Rady praktyczne

Przy kupnie ubrań uczniowskich rodzice i opiekunowie powinni dokładnie poinformować się o przepisach szkolnych, aby uniknąć strat, przeróbek i zmian.

Szanować odzież będą dzieci wtedy, jeżeli nawet stare, przeznaczone do zdarcia ubrania są starannie uprane, uprasowane, odplamione i wyreperowane. Staranne ubranie, nawet najskromniejsze, sprzyja dobremu samopoczuciu dziecka.

Pranie wełnianych mundurków powinno być wykonane umiejętnie, aby uniknąć zbiegnięcia się ubrania, zesztywnienia i innych przykrych następstw nieumiejętnego prania. Pamiętajmy, że: 1. mydło powinno być w dobrym gatunku, rozpuszczone w gorącej wodzie w stosunku 4 gramów na 1 l wody i spienione ręką lub trzepaczką. Pocierać wełny mydłem nie należy, gdyż odbiera to wełnie puszystość. Płatki mydlane ułatwiają uzyskanie obfitych mydlin. Proszków do prania nie należy używać, gdyż są drogie, zawierają składniki bielące i sodę, tak szkodliwą dla wełny. Twardą wodę należy zmiękczyć sodą (1 gram na 1 l wody). 2. Temperatura mydlin nie powinna przekraczać 25 st C., czyli mydliny powinny być zaledwie letnie. 3. Prać należy wyciskając delikatnie tkaninę. Tary lepiej nie używać. Pranie kompresorem daje dobre wyniki, jeżeli w beczce jest dostateczna ilość mydlin. Wyżymać ręką — wyżymaczki nie używać. 4. Płukać należy w dużej ilości wody miękkiej: do ostatniej wody, jeżeli materiał „puszcza' dodać należy esencji octowej, tak, aby

wodą była lekko kwaśna. Do płukania puszystych wełnianych ubrań (np. dzianych) celowy jest dodatek 2 łyżeczek amoniaku na miednicę wody. 5. Suszyć najlepiej rzeczy rozłożone (powieszone tracą formę). Bardzo dobre wyniki daje używanie siatki — hamaku (cechowanej przez Inst. Gosp. Dom., wy- — Zw. Pań Domu). 6) Prasować należy wełniane materiały lekko wilgotne niezbyt gorącym żelazkiem, tylko po lewej stronie lub przez wilgotny lniany, miękki kawałek płótna.

Kąpiel z letniego mleka działa dobrze na przemęczone długim czytaniem oczy. Do takiej kąpieli służy specjalny kieliszek, który szczelnie przylega do oka.

Mleko ma także inne jeszcze zastosowanie w kosmetyce. Oto maska zrobiona z otrąbków migdałowych „almond meal" i letniego mleka, wydelikaca bardzo cerę. Przed nałożeniem maski należy wetrzeć trochę tłustego kremu w okolice oczu.

—o—

Stosowanie ołówków do rzęs i brwi bywa czasami bardzo krępujące, gdy się taki „rysunek" rozmaże i podsini nieładnie oczy. Sztywne oczy brwi i rzęs nabiorą wyraźniejszego koloru i jedwabistego połysku, jeśli przy pomocy odpowiedniej szczoteczki wetrzemy w nie kroplę oliwy. Ostrzegamy jednak przed użyciem kremów twarzowych do tego celu, gdyż te zawsze niemal zawierają środki wybielające, a więc niepotrzebnie pojaśniałyby włosy rzęs i brwi.

—o—

Dla zdrowia zębów i dziąseł dobrze jest nawet przy dwukrotnym czyszczeniu zębów, posypać na szczoteczkę trochę sody kuchennej (bicarbonate of soda), co pomaga do ścierania osadu z zębów, a przytem neutralizuje kwasy w jamie ustnej, będącej przyczyną choroby dziąseł.

—o—

Mydło i woda konserwatorem urody. Każda z pań może się łatwo przekonać, jak nieodzowne dla urody jest mycie się ciepłą wodą i dobrym mydłem. Jeżeli — czego nikomu nie życzę — podczas dłuższej choroby gorączkowej lekarz nie pozwoli się kąpać — no chociażby przez dwa tygodnie — cóż się potem dzieje przy pierwszej kąpieli!... Z całego ciała przy porządnem namydleniu i potarciu ostrą rękawicą schodzi cała warstwa nagromadzonego martwego naskórka. Chyba to najlepszy dowód, jak niezbędną rzeczą jest woda i mydło.

Zróbmy zresztą próbę równie przykrą, lecz szybszą. Spróbujmy przez dni parę się nie myć wodą, lecz kremem oczyszczającym. Po takim „umyciu" weźmiemy na watę trochę czystego spirytusu i mocno skórę natrzemy. Wata wcale nie będzie idealnie czysta...

Natomiast ta sama operacja dokonana po dokładnym umyciu się wodą z mydłem — da rezultat zupełnie inny: wata będzie idealnie czysta — dla tej prostej przyczyny, że cały brud aż do głębi porów wymyty został naprawdę.

Czy wiecie że...

Statystyka wydawnicza Europy ujawnia fakty zdumiewające. Okazało się mianowicie, że najwięcej książek — (900 nowych wydawnictw na każdy milion mieszkańców) — produkuje Dania.

Na drugim miejscu stoi Łotwa. Dalej idą: Holandia i kraje Skandynawskie. W znacznej odległości kroczą wielkie mocarstwa — Francja, Niemcy, Włochy. Małe państwa, a tak duża kultura. Dziwne.

—o—

Medycyna poczyniła wielkie postępy w leczeniu anginy dzięki stosowaniu krótkich fal radiowych. W wiedeńskiej klinice Wochenschrift znajduje się obszerny materiał, poświęcony tej sprawie. Przy stosowaniu krótkich fal następuje spadek gorączki i do trzech dni przy natychmiastowym leczeniu można anginę uważać za wyleczoną. Niektóre szpitale wiedeń. kie już sobie urządziły stacje krótkofalowe.

—o—

Uczony nowojorski dr. Wiliam wynalazł okulary pozwalające widzieć osobom o niezmiernie słabym wzroku. Nad tymi okularami pracował 7 lat. Okulary te pozwalają czytać 40 proc. osobom uważanym za niewidome. Korzystać mogą z tych okularów osoby, których siła wzrokowa wynosi 2 proc. normalnej.

—o—

W Berlinie zmarł niedawno pewien ogrodnik, który przez lat jedenaście żył bez żołądka po operacji i cieszył się dobrym zdrowiem. Musiał unikać tylko ciężkich potraw. Zmarł na grypę.

—o—

Na wszechnicach amerykańskich wprowadzone zostały wykłady o szczęściu małżeńskim. Amerykanie doszli bowiem do przekonania, że powodem masowych rozwodów jest niedostateczne przygotowanie młodzieży wstępującej w związki małżeńskie. Wykłady obejmują: 1. gospodarkę małżeńską, 2. fizjologię, 3. psychologię. Największym powodzeniem cieszą się wykłady z fizjologii małżeńskiej.

—o—

Niebieski lis jest odmianą lisa podbiegunowego czyli białego, napotykanego przeważnie na wybrzeżach oceanu Lodowatego i w okolicach podbiegunowych. Lisy tych okolic mają w zimie futro białe, a w porze letniej przybierają kolor brunatny i żółtawy. Niebieski lis jest w zimie ciemno-niebieskawy, a podczas lata nabiera koloru brunatnego. W okazach pochodzących z krzyżowania różnobarwnych lisów białe nakrapiane niebieskawymi plamami albo obydwa kolory łączą się i dają barwę szarobiałą lub popielatą.

Ze świata

Hrabianka dziedziczy po starym służącym

Niezmiernie rzadki i wzruszający wypadek wdzięczności starego sługi dla córki swego chlebodawcy notują pisma węgierskie. W jednej z miejscowości na Węgrzech zmarł kucharz hr. Sztaray, który 50 lat pozostawał na służbie u swego pana. W testamencie kucharz zapisał cały swój majątek wynoszący 80 tys. koron 25-letniej córce hrabiego. W umotywowaniu tak niezwykłego zapisu, kucharz podkreślił, że pieniądze przekazuje jej w dowód wdzięczności za intencję hrabianki na rzecz kucharza. Hrabia Sztaray zamierzał bowiem zwolnić 70-letniego wówczas kucharza z powodu starości. Dzięki interwencji hrabianki kucharza pozostawiono w służbie. Umierający 80-letni staruszek całe w okresie swej służby zaoszczędzone pieniądze przekazał córce swego chlebodawcy.

Świat i życie

Zgubny nałóg

Straszne spustoszenie jakie wyrządza, zwłaszcza wśród ludów wschodnich, nadużywanie narkotyków stało się tematem wielu naukowych rozpraw, powieści i opowiadań.

Według obserwacyj lekarzy stwierdzono, że choroby umysłowo-cielesne powstają zarówno od używania morfiny, jak i od zbyt gwałtownego powstrzymania się od raz nabytego nałogu.

Stan normalny nałogowego morfinisty określić można jako paraliż woli i zagłuszenie w sobie własnego ja. Jednocześnie spostrzegać się daje znaczne przytępienie zmysłu moralnego.

Spożywcy morfiny łatwo popełniają zbrodnie. Chińczycy, którzy obok nałogu zażywania opium są namiętnymi graczami, dochodzą do takich ostateczności, że po przegraniu ubrania, koszuli, żony i dziecka — stawiają na kartę — własne palce i obcinają je w razie przegranej. Drugą znamienną cechą konsumentów narkotyków jest nieprzeparty pociąg do kłamstwa.

Często morfina nie tylko, że nie przytępia władz umysłowych, ale przeciwnie — nadaje im większą żywość. Zwykłym stanem chorego — jest przygnębienie moralne. Skutki zażywania trucizny bywają nieraz wprost przeciwne. W szynkach na Dalekim Wschodzie widzieć można Malajów, jak odurzeni morfiną, przegrawszy ostatnie zarobione pieniądze, dostają napadu wściekłości. Dlatego to w Turcji pozwalano dawniej pierwszym szeregom wojska, idącego w bój, upijać się. Tacy żołnierze, odurzeni, dostawali napadu wściekłości i uderzali ze straszliwą siłą na wroga. Nieczuli na ciosy posuwali się naprzód z nieprzepartą mocą — przeważnie wywalczając zwycięstwo.

Cierpiący na morfinizm bardzo często podpadają halucynacjom. Do najpospolitszych należą wzrokowe. Najmniej zagrożonym bywa organ słuchu. Postać takiego morfinisty przedstawia odrażający i straszny wygląd: twarz staje się maską nieruchomą, pozbawioną wyrazu, skóra przybiera barwę żółtą z ziemistym odcieniem, oblicze pokrywa się przedwczesną siecią zmarszczek. Na całej powierzchni ciała z dotykania słabnie stopniowo, aż wkońcu zanika zupełnie.

Największe spustoszenie sieje morfina w narządach oddychania i krwiobiegu. Puls staje się nierówny, rytm serca słabnie. Osobnik taki czuje duszność, głos przybiera odcień matowy, wreszcie staje się chrapliwy — chory gwałtownie starzeje się. Zwłaszcza kobiety zażywające morfinę bardzo szybko pozbywają się swych młodocianych wdzięków, nabierając starczego, zwiędłego wyglądu. W wypadku większej odporności ustroju, podaje się on niszczącej potędze zwolna i kończy zazwyczaj na gruźlicy.

Co Myślą Chińczycy o śmierci swych żon

Ukazała się niedawno książka chińskiego poety pod tytułem "Tszung-Tse" — „poezje i mądrość". Jeden z utworów poświęcony jest pojęciu Chińczyków o śmierci ich żon. W prozie tak przedstawia się to opowiadanie:

„Gdy zmarła żona Tszung-Tse, odwiedził go Hui-Tse, aby mu złożyć wyrazy współczucia, Tszung-Tse siedział z wyciągniętymi nogami na ziemi, uderzając rytmicznie w garnek z gliny i śpiewając, Hui-Tse odezwał się: „Twoja zmarła żona przecież żyła razem z tobą, wychowała ci już dorosłe dzieci, zestarzała się w pracy, około ogniska domowego. To, że się nie skarżysz, iż ona umarła, uważam już za wystarczające. Lecz, to, że bębnisz w garnek i jeszcze w dodatku przyśpiewujesz, świadczy, że posuwasz się za daleko. „Tszung-Tse odpowiedział: „Mylisz się, w chwili jej zgonu byłem wzruszony tak jak wszyscy. Lecz gdy następnie zastanowiłem się nad jej życiem, doszedłem do przekonania, że w początkach swoich była ona bezduszną istotą, nie tylko bezduszną istotą, nie tylko bezduszną, ale i bezpostaciową, lecz nie tylko bezpostaciową, ale i bezistotną. Wskutek zmian w naturze trudnych do pojęcia naszym rozumem, stała się istotą, zamieniając się następnie w postać, a po tym w życie. I znowu nadeszła przemiana — ona zmarła. I w tym życiu jest utrzymany porządek odwiecznego prawa natury wiosny, lata, jesieni i zimy. Obecnie spoczywa spokojnie w przestworzach Wszystkiego. Dlatego też gdybym stale opłakiwał jej śmierć, dawałbym dowód, że nie rozumiem przeznaczenia, które nas wszystkich czeka".

ADAM CZEKALSKI

Dziesięć lat życia za miłość

NOWELA

Działo się to dawno już temu.

Podczas mroźnej zimy żak Fernando po siedział w swojej izdebce i między jednym zagadnieniem filozoficznym, a drugim myślał także o miłości. W pewnej chwili powstał i spojrzawszy przez okno na zaśnieżony świat, wyrzekł głośno:

— Ach, gdyby mnie mogła pokochać Carmena, dałbym dziesięć lat życia za to.

Chwilę patrzył w przestrzeń, jakby myślami towarzyszył pięknej Carmenie, która pewnie, jeśli nie modliła się w tej chwili, na pewno wcale nie myślała o Fernandezie. A kiedy żak odwrócił się naraz, zobaczył dziwnego staruszka w czerwonym kubraku, który stał przed nim i uśmiechał się.

— Powiedziałeś, młodzieńcze, że dałbyś dziesięć lat życia za miłość Carmeny — odezwał się sympatyczny staruszek. — Czy to prawda?

Fernandez miał w ogóle naturę zrównoważoną, zaskoczony nagle przez nieprzewidziane okoliczności, wydawał co najwyżej lekki okrzyk zdziwienia. Obecnie postawił krzesło w taki sposób, aby siedzieć nawprost przybysza i zapytał go grzecznie.

— Mówiłeś kawalerze?

— Mówiłeś, że jesteś zakochany w Carmenie i oddasz 10 lat życia za jej miłość, a ja podejmuję się dostarczyć ci ją za tę cenę.

— Jesteś więc diabłem. A to doskonale. Musisz bowiem wiedzieć dokładnie czym właściwie jest świat, na którym żyjemy, więc pragnąłbym zadać ci w tej mierze mnóstwo pytań.

— Daruj Fernandzie, lecz szukanie w tym wypadku dowodzi całkowitego niezrozumienia rzeczy. Chcesz, bym ci dał klucz zagadki istnienia? Nie ma go, a to, co uważasz za zagadkę, jest pustym frazesem, który można tłumaczyć na wszystkie sposoby. A teraz mówmy o rzeczach poważnych. Czy przyjmujesz moje warunki?

— Nie wiem dotąd, jak one brzmią.

— Powiedziałem: uczynię wszystko, aby sprowadzić do ciebie jeszcze dzisiaj Carmenę i spowodować ją do nakłonienia swego serca w twoją stronę, wzamian za co ty mi zapłacisz 10 latami życia. Czy zgoda?

— Zaraz, zaraz, czemu ci tak śpieszno?

— Dla twojego dobra. Każda chwila, którą spędzasz na rozmowie ze mną poza Carmeną, jest chwilą skradzioną szczęściu.

— Czekajże, przecież zagadnienie to jest niezmiernie ważne i to, mój kawalerze, ważne przede wszystkim dla mnie. Mam chyba prawo zastanowić się nad twoją propozycją sekundę choćby.

— Zastanawiaj się.

— Hm... — mruknął Fernandez. — Wiadomo ci przecież, mój kawalerze, że Carmena jest dziewczyną sklepową. A kobiety tej kategorii, mówiąc ogólnie, nie są bynajmniej trudne do poskromienia i zdobycia. Jestem tedy zdania, ze pięć lat powinno ci wystarczyć.

Dość tego, Fernandezie, albo decydujesz się od razu na moje warunki, albo nigdy więcej w swoim życiu nie zobaczysz Carmeny i nie zakosztujesz słodyczy jej pocałunków.

— Czemuż to? Jeśli zechcę, zobaczę Carmenę jeszcze dzisiaj.

— Odpowiadaj krótko: tak lub nie?

Fernandez popatrzył uważnie na niezwykłego staruszka i następnie wyrzekł twardo:

— Tak!

W tej chwili niezwykły człowieczek uderzył w dłonie i począł się bardzo długo i serdecznie śmiać. Fernandez siedział nieruchomo na krześle, nie poruszając się. Wtedy staruszek podszedł do niego i dotknął palcem jego ramienia. Fernandez rozpadł się w proch, albowiem wyrzekłszy się dziesięciu lat życia nie zostało mu już do przebywania na ziemi nic.

Żebym się tylko mogła zobaczyć z inspektorem więziennym, to już sobię wyrobię pozwolenie zobaczenia się z ojcem.

— Dziecko moje, mówiła pani Hubert — nie wierzysz jeszcze, że to nadaremnie, że się nie uda. Trzy razy nas odsyłali stamtąd z niczym. Jestem przekonana, że się z ojcem nie będziemy mogły widzieć wcześniej, niż na rozprawie.

— Spróbuję, odpowiedziała Sylwia — może jednak się uda.

Ja się wybieram z tobą, nie puszczę ciebie samej, rzekła teraz pani Herbert.

Tymczasem przed dom zajechały sanie jakieś i wysiadł z nich nasz stary przyjaciel, Moszko.

— A! powitać panienkę w domu! zawołał wyciągając rękę do Sylwii. Słyszałem o pani powrocie i przybyłem, by panienkę powitać i spytać czym się mogę może przysłużyć. Cieszy mnie, że panienka taka świeża i kwitnąca jak róża.

Sylwia serdecznie przywitała się z nim i opowiedziała mu krótko co się z nią działo.

Żyd słuchał ciekawie.

Kochany panie Mojżeszu, rzekła na koniec Sylwia, ja jestem pewna, że stangret Mayer jest wspólnikiem barona.

Z czego to pani wnosi? spytał Moszko.

Stąd, że on nagle stał się prawie bogaczem. Mówił, że wygrał los, ale pan mi sam mówił, że to nieprawda. Widocznie więc, że dostał te pieniądze jako zapłatę za jakąś zbrodnię.

I ja jestem tego zdania, potwierdził Moszko — spotkałem się z nim we Wiedniu. Nie mieli już ani centa i Józef musiał zastawić zegarek złoty, żeby miał na drogę do Königswalden. Tu krótko rozmawiał z baronem i potem znowu wrócili do Wiednia. W Wiedniu Zuzia chwaliła się i pyszniła majątkiem i rozpowiadała, że oni jadą do Ameryki i tam hrabstwo sobie kupią. Rzeczywiście potem pojechali, tylko niestety nie wiemy dokąd.

Wiemy, wiemy odpowiedziała Sylwia i wyjaśniła mu, co i w jaki sposób wie o pobycie Mayera.

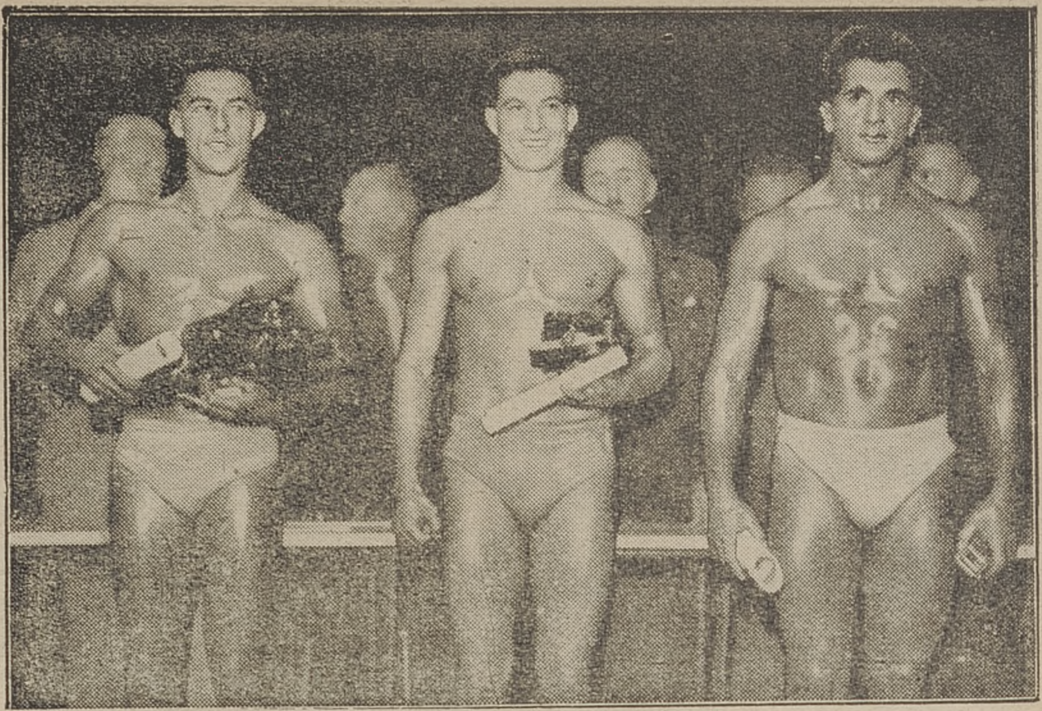
Hm, hm, mruknął Moszko — świętą prawdę mówi pismo św., że każdy własnym grzechem bywa karany. Mayer został zbrodniarzem, żeby zadowolić próżność żony i właśnie ta próżna żona go teraz opuściła. Ciężki grzech ma na sumieniu, a nagrody której się spodziewał za przestępstwo, nie ma. Co panienka teraz zrobi?

Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Willsonstow, pojechać tam, zapytać się o farmę „Szczęście i błogosławieństwo Boże" i odszukać Mayera. Skoro go zaś odnajdę, wydobędę już od niego prawdę, w jaki sposób on sprzątnął hrabiego. Wtedy wrócę i zdemaskuję barona, Werner będzie wolny, a ojciec mój oczyszczony z haniebnego podejrzenia.

Śmiały plan, wspaniały plan! zachwycał się Moszko — nigdym sobie nie życzył dzieci, a córek już wcale nie. Ale na Jehowę — byłbym dumny, gdybym miał taką córkę, jak pani! Ta odwaga, energia, ta zdolność do poświęceń — jestem z całym szacunkiem dla pani! Niech mi pani pozwoli sobie pomóc. Jestem bezdzietny. Te parę groszy, które odłożyłem sobie na czarną godzinę, pożyczę pani na podróż do Ameryki, a każdy cent z tych pieniędzy przyniesie pani szczęście.

— Ależ panie! odrzekła Sylwia wzruszona — tego, nie mogę przyjąć! Niech pan pomyśli: bardzo być może, że ja nigdy nie będę w położeniu oddać panu tego cobym teraz wzięła.

— Jeśli pani nie będzie mogła, nalegał Moszko — wtedy powiem: Bóg dał, Bóg wziął! Niech wola Jego będzie pochwalona!



W Paryżu urządzono konkurs na najpiękniejszego lekkoatletę Europy. Oto trzej jego zwycięzcy.

Niech pani nie odpycha pomocy biednego starego Żyda. Niech mnie pani obdarzy swoim zaufaniem, nie jestem tego niegodny!

Sylwia opowiedziała mu wszystko, co zamierzała uczynić, a on słuchał kiwając głową i od czasu do czasu tylko rzucał krótkie pytania. Potem, gdy skończyła, rzekł:

— Nie ma co zwlekać. Jedźmy zaraz! Wstąpi pani do ojca w Petershagen, po błogosławieństwo, które talizmanem będzie ci w drodze, a potem — jazda!

Sylwia najchętniej zgodziła się na to i wnet wszyscy troje jechali do Petershagen.

ROZDZIAŁ CXCVII

Cudowne zdarzenie losu

Opuściwszy żonę, żeby wrócić do niej dopiero wtedy, gdy będzie miał chleb w ręku, błąkał się Leon długi czas po ulicach Berlina bez celu, bez świadomości, gdzie pójść, od czego zacząć.

Wstąpił wreszcie do jakiejś szynkowni, w której było prawie zupełnie pusto i wetknąwszy kelnerce, która mu przyniosła piwo kilka groszy, prosił ją o pióro, papier i atrament.

Napisawszy list pełen wzruszających słów pożegnania, patrzył ze ściśniętym sercem na ten papier, który widzieć będzie Hortensja, którego dotykać będą jej długie, białe palce i zdawało mu się, że tu w tej brudnej szynkowni rozpłacze się z żalu.

Teraz dopiero kochał Hortensję prawdziwą, gorącą i szlachetną miłością.

Zapłacił rachunek i wyszedł.

Julka, kelnerka, popatrzyła za nim ździwiona.

Ciekawy gość — myślała — piwa nie wypił, a na list własny gapił się Bóg wie czemu. Do mnie, choć przecie jestem chwała Bogu niczego sobie, ani nie zerknął. A przystojna szelma, tylko jakiś widać mazgaj.

Oddał list ekspresowi na ulicy i kazał go zaraz doręczyć.

Sam tłumiąc w sobie wszelkie myśli o żonie, które mu się tłumnie narzucały, poszedł na spotkanie zawistnych losów.

Miał zamiar pójść do biura pośrednictwa pracy i poszukać jakiegokolwiek zajęcia, byle tylko mieć chleb i nie być na utrzymaniu żony.

Rozglądając się tak za szyldem biura, musiał zadrzeć głowę i z tej przyczyny nagle zderzył się z jakimś przechodniem.

— Mój panie kochany! — usłyszał jowialny głos — czy pan koniecznie musi deptać po cudzych nagniotkach?

Leon wyrwany z zadumy zdjął kapelusz i przeprosił.

Ulica była jasno oświetlona, ale z kapelusza padał cień na twarz Leona.

Teraz jednak, gdy Leon zdjął kapelusz, nieznajomy przypatrzył mu się lepiej.

— Waldau!? — zawołał z radosnym ździwieniem. To ty!?

— Eryk! — zawołał Leon — co za radość, że cię... że pana hrabiego widzę znowu.

— Człowieku, zwariowałeś? Do mnie mówisz, pan hrabia? Jeżeli mi nie chcesz tą komedią popsuć humoru, to wypraszam sobie takie tytuły i bądźmy z sobą jak dawniej.

Przecie nie dawniej, jak dwa lata temu w Heidelbergu hulaliśmy razem i bawiliśmy się z pannami i robiliśmy wszystko byle się tylko nie uczyć, a wszystko razem. A teraz ty do mnie mówisz, pan hrabia? Wstydziłbyś się, stary gamoniu!

— Nie gniewaj się — rzekł Leon serdecznie — że zaskoczony niespodzianką, nie znalazłam się od razu we właściwym tonie. Ale bądź pewny, że mimo to mam dla ciebie równie tyle serca, co dawniej, zwłaszcza, iż widzę, że jesteś tak serdecznym chłopcem, jak dawniej.

— No, widzę, że umiesz jeszcze mówić po ludzku, zauważył hrabia Rauch. Po dobasz mi się teraz znowu, stary przyjacielu! No, ale musimy zalać to, żeśmy się znowu spotkali, a przy lampeczce możemy sobie spokojnie pogawędzić.

— Prawdę powiedziawszy — odrzekł Leon — spieszę się bardzo i muszę ci odmówić.

— Tatata! spieszysz się. Nic mi nie mów o tym — uciął hrabia — idziesz ze mną i koniec.

— Mimo najszczerszej chęci nie mogę — wzbraniał się Leon.

— Głupia wymówka — mruknął hrabia — przyznaj się, gdzie idziesz. Oświadczać się? To już za późno dzisiaj, pójdziesz jutro!

— Powiem ci zresztą całą prawdę — rzekł Leon — jestem w złych stosunkach i szukam roboty.



Pałac, w którym zamieszkał Mussolini na czas swego pobytu w Monachium.

— W takim razie tym bardziej powinieneś się porozumieć ze starym przyjacielem — odrzekł na to hrabia, który, wobec ostatnich słów Leona nagle spoważniał i porzucił zupełnie dotychczasowy ton żartobliwy. Teraz cię rzeczywiście nie puszczę. Musisz iść ze mną i powiedzieć mi wszystko, może ja ci będę mógł pomóc.

Wziął go pod ramię i pociągnął naprzód. Po drodze opowiadał mu zdarzenia ze swego życia, prawdopodobnie w tym zamiarze, aby przyjacielowi ułatwić zwierzenia.

— Ty wiesz — mówił — żem przez te trzy lata na uniwersytecie właściwie nic a nic nie robił. Nareszcie staremu memu za dużo było tego dobrego i kiedy zwąchał, że o egzaminie ani słychu - dychu, zawezwał mnie do siebie, palnął mi kazanie i kazał się chwycić jakiegoś zawodu. Musiałem iść do wojska.

Po pewnym przygotowaniu zostałem porucznikiem, ale miałem przełożonych młodszych od siebie żółtodziobów, gołowąsów, a służba mi nie odpowiadała i strzelałem bąki jeden po drugim. Nie byłbym został kapitanem ani za lat sto.

No i pomyśl sobie, stara ciotka moja była taka dowcipna, że umarła i zostawiła mi w testamencie cały swój wielki majątek. Lubiła mnie zawsze bardzo. Niech będzie błogosławiony jej zły gust! Dość, że mogłem podziękować za służbę i teraz wybieram się do Ameryki po rozum i doświadczenie.

Teraz powiedz ty mi o sobie wszystko z takim zaufaniem, jak ja do ciebie się odniosłem.

— Pozwól mi o ostatnich latach mego życia nie mówić — rzekł Leon ponuro — jest to łańcuch wykroczeń, przestępstw, grzechów i cierpień dla mnie. Szukam teraz stanowiska w życiu, w zamiarze, aby stać się innym człowiekiem.

— Tyś także nie skończył studiów? — zapytał hrabia Rauch poważnie.

— Nie — przyznał się Leon ze smutkiem — nie zdałem nawet egzaminu na referendarza.

— Hm — mruknął hrabia zamyślony — a co zamierzasz robić?

— Co się nadarzy, przyjmę pierwszą lepszą posadę.

— Słuchaj — rzekł hrabia powoli i z namysłem — ojciec mój ma w swoich dobrach Postelwitz kilku inspektorów. Przyjąłbyś taką posadę?

— Dziękuję ci, ale nie mogę, bo na agronomii i na gospodarstwie nie znam się wcale.

— Szkoda — żałował hrabia — ale pomyślimy nad tym jeszcze. O, tu jest Kempiński! Chodźmy, tam sobie przy kieliszku pogawędzimy trochę w cichym kąciku.

Cichy kącik, w którym zasiedli, zabrzmiał wnet bardzo głośnym strzelaniem korków szampańskich.

Hrabia wypił trzy lampki i po trzeciej dopiero oświadczył, że jest przygotowany do poważnych rozmyślań.

Rzeczywiście przez dobrą chwilę panowała cisza. Leon dumał ponuro nad swym losem, hrabia zaś starał się skupić umysł.

Był to człowiek w wieku Leona, bardzo przystojny. Jasny blondyn, z małym wąsikiem, a cerę miał panieńsko białą i różową, rysy drobne bardzo i regularne. Wyglądał panieńsko i to go martwiło. Irytował się, że tak wygląda i naumyślnie płatał nieraz szalone figle, żeby zadać kłam swemu niewinnemu wyglądowi. Z natury jednak rzeczywiście był bardzo poczciwy i dobroduszny.

Teraz kilkakrotnie proponował Leonowi coraz to coś nowego, ale jakoś mu się nie bardzo szczęściło. Leon zawsze udowadniał, że projekt jego jest niewykonalny.

Nagle hrabia zerwał się z miejsca:

— Mam! — zawołał — jedziesz ze mną do Ameryki i tam zrobisz szczęście.

Taktowny był o tyle, że znając Leona nie zaproponował mu ani razu pożyczki. I teraz taktem swoim przeczuł wątpliwości przyjaciela i uprzedził go.

— Nie myśl — rzekł — że to ze mnie mówi czysta bezinteresowna przyjaźń, ani mi się nie śni. Powoduję się w tej chwili najrealniejszym egoizmem. Mój stary wymógł na mnie, żebym pisał dziennik podróży. Powiedz sam, cobym ja potrafił napisać. Byłby wprawdzie — pochlebiam sobie — wspaniale lakoniczny, ale to właśnie memu staremu się nie będzie podobało.

Szukałem już po biurach sekretarzy, ale przedstawiali mi się sami jacyś ogromnie niesympatyczni, wprost wstrętni ludzie. Mój kochany, byłbym szczęśliwy, gdybyś chciał przyjąć u mnie posadę sekretarza!

— Kochany! — rzekł Leon wzruszony podając mu rękę. — Przejrzałem cię i widzę, żeś zawsze jeszcze ten sam poczciwy, ofiarny i dobry chłopiec. Za twoją wspaniałomyślność jestem ci wdzięczny z całego serca. Ale bądźmy szczerzy i otwarci. Jakkolwiek muszę ci przyznać, że propozycja twoja nęci mnie bardzo, to jednak nie mogę jej przyjąć, bo to nie jest nic innego, jak jałmużna, choć bardzo delikatnie podana.

— Człowieku! Zrób to dla mnie i nie bądź durny! — zawołał hrabia poirytowany — nie przekręcaj faktów! Powiadam ci zupełnie szczerze, że jeżeli ktoś tutaj może mówić o dobrym interesie, to nie ty, tylko ja! Bo nie tylko, że mi będziesz pisał dziennik — ale pomyśl sobie, jakbym się nudził sam w podróży i jak mi będzie przyjemnie z tobą urządzać wycieczki do Hieronów, Delawarów i jak się tam ci wszyscy nazywają! No! zgoda?!

Wyciągnął do niego małą, niezgrabną rękę, a Leon po pewnym namyśle podał mu dłoń na zgodę.

— Głupi bym był — rzekł — żeby dla wariackiej pychy nie korzystać z twojej wspaniałomyślności, która mi otwiera nowe drogi życia. Jesteś prawdziwym przyjacielem w biedzie...!

— Na miłość Boską, nie rozczulaj się!? — zawołał Eryk Rauch — cieszę się bardzo, że pojedziemy razem. Swoją drogą, jeżeli ci się tam trafi coś dobrego, to nie będę cię krępował; — ale teraz posłuchaj — czy dziś wieczorem ze mną nie mógłbyś się wybrać?

— Ale owszem! nic mnie nie krępuje. Mogę natychmiast wyruszyć!

— Tym lepiej — ucieszył się hrabia Rauch — mam jeszcze coś załatwić — wiesz, mojej małej muszę powiedzieć: — bądź zdrowa! — Ładna subretka, poczciwe stworzenie! Kiedyś tu płakała rzewnymi łzami, gdy usłyszała o moim zamierzonym wyjeździe. Muszę jej więc zanieść coś, co ją pocieszy, boć to głównie o to chodziło przecież. Pełna portmonetka wystarczy, żeby jej osuszyć łzy. — A co to jeszcze chciałem powiedzieć, idę więc do niej, i zejdziemy się na dworcu. Pociąg do Hamburga odchodzi o 10-tej. Być może, że się spóźnię, bądź więc łaskaw kupić sobie bilet pierwszej klasy, i to koniecznie, bo zależy mi na tym, żebyśmy jechali w jednym przedziale.

Wsunął mu do ręki banknot 500 złotowy i szepnął:

— To na twoje wydatki. Ale chodź, bo będę miał za mało czasu dla mojej dziewczynki.

Leonem owładnął nagle inny duch.

Przygnębienie znikło zupełnie i zjawiła się nadzieja uzyskania majątku.

Jeżeli wtedy odszuka żonę, nie będzie go dzielić od niej żaden wstyd.

Pod wpływem tych marzeń był uszczęśliwiony.

Rzucił kelnerowi suty napiwek i wyszedł z lokalu.

Na drodze pożegnali się serdecznie i hrabia zawołał:

— A więc do widzenia na dworcu! Gdyby ciebie nie było już w poczekalni pierwszej klasy, będę cię szukał w wagonach pierwszej klasy dla palących. Ale rozglądaj się też za mną, żeby mi łatwiej było cię znaleźć.

To rzekłszy, znikł.

Leon patrzył za nim jak senny. Cała nagła zmiana losu jego tak się szybko odbyła, że on się sam nie mógł w niej zorientować.

Nagle znowu myśl o żonie przeszyła go dzikim bólem.

— Kto wie, czy ją jeszcze zobaczy? Czy nie zginie na wyprawie po złote runo?

Myśl ta straszliwa tak go przeraziła, że instynktownie pobiegł, aż pod hotel, gdzie mieszkał z Hortensją.

W oknach było ciemno.

A więc spała jeszcze, nie przeczuwała, jaki cios ją czeka po obudzeniu.

W dzikiej rozpaczy zakrył twarz rękami, a łzy strumieniami lały mu sie po policzkach i pomiędzy palcami.

Los, który sam sobie wybrał, zdawał mu się teraz nieznośnym.

— Czy ją odnajdę? Czy ona kochać mnie będzie jeszcze? — pytał się samego siebie w szalonej trwodze.

Nie znalazł odpowiedzi na to.

Któż może odchylić zasłonę przyszłości?

Obrócił się i pobiegł na dworzec.

Kupił bilet i spotkał hrabiego Raucha u wejścia do poczekalni.

Wsiedli do wagonu i pojechali do Hamburga.

Gdy Hortensja i obaj agenci szukali za nim bezowocnie, Leona dawno już w Berlinie nie było.

Dziwnym trafem obaj agenci natrafili na ślad Leona i obaj zaniechali dalszego tropienia go, sądząc, że to ślad fałszywy. Szukali go więc wciąż jeszcze w Berlinie, gdy Leon dawno już był na drodze na nowy świat.

Żona jego omdlewała z tęsknoty i niepokoju i drżała za każdym najlżejszym promykiem nadziei.

Tymczasem on jechał w daleki świat, aby ugruntować szczęście swoje i Hortensji i dać mu trwały fundament.



Na zdjęciu wejście do olbrzymiej Rotundy wystawowej w Wiedniu, która padła pastwą ognia.

ROZDZIAŁ CXCVIII

Sceny małżeńskie

Mr. Mrs. Tulliwer oczekiwali z niepokojem odpowiedzi ojca Snoba na propocję przystąpienia do spółki.

Te dni oczekiwania mimo to jednak, a może właśnie dlatego, upływały dla Inez bardzo mile.

Wszelkie kaprysy i niegrzeczności męża ustały nagle. James był taki czuły i uważający, jak w dzień po ślubie.

Przykład jego oddziaływał dodatnio na Wakera, który się zaczął zachowywać tak samo chwalebnie i ciągle był przy żonie, tak, że i w drugiej parze niezamącona była harmonia.

Wśród tej sielanki nadszedł list od ojca.

Inez otworzyła go z pewnością siebie, ale zawiodła się gorzko.

Mr. Snob synowi i córce sucho oznajmiał, że nie ma chęci przystępować do spółki w owym przedsiębiorstwie, że nie zaciągał żadnych informacyj u przyjaciela p. Tulliwera, bo ufałby raczej własnemu swemu sprytowi, ale że na węglu nic się nie rozumie, więc woli nie zaczynać wcale tego interesu. Wielkie owe zyski nie nęcą go wcale, na swoje stare lata ma dość, a córki także nie mają za mało. Jeżeli zięciowie nie zadowolą się tymi dochodami, które mają, to mogą posagi złączyć i nimi operować w przedsiębiorstwach.

Inez rozgniewała się i narzekała gorzko na staruszka, który dla niej całe życie pracował.

Męża jej nie było; ona z trwogą myślała o tym, jak on przyjmie tę wiadomość.

W głupiej, ślepej miłości dla męża, zapomniała całkiem, co jest winna ojcu.

Zalewała się łzami i robiła w myśli gorzkie wyrzuty ojcu, a nawet matce.

W tym usposobieniu zastał ją po powrocie Tulliwer.

— Co się stało? — spytał tknięty złym przeczuciem.

Ona podała mu list ojca.

Tulliwer przeczytał, i ze straszliwym przekleństwem rzucił papier na stół.

Klnąc, zaczął biegać po pokoju, a żona nieśmiało usiłowała się zbliżyć do niego, by go uspokoić.

— Mój drogi, mój kochany! — prosiła płacząc — ja sama jestem nieszczęśliwa, że ojciec...

Nie mogła dokończyć zdania, bo Tulliwer, do którego ona się tuliła, odepchnął ją brutalnie.

— Precz! — zawołał — nie pieszczot twoich, tylko pieniędzy mi potrzeba! Na cóż mi był ten mezalians, jeżeli nie mam mieć z niego tej przynajmniej korzyści, żeby się wznieść nad codzienną pospolitość. Chciałem cię otoczyć książęcym blaskiem i przepychem, krzyżuje moje wspaniałe plany! Wierzyć mi się nie chce! Sam sobie szkodzi przecież. Nie! ty musiałaś po za moimi plecami pisać, żeby się nie zgodził, inaczej ja sobie tego nie mogę wytłumaczyć. Fe! ty fałszywa, nikczemna istoto!

Na ten niesprawiedliwy wyrzut Inez zalała się rzewnymi łzami. Tego jej było za dużo! Kochała go tak i tak się martwiła odpowiedzią ojca, a teraz z jego strony spotyka ją tak niskie podejrzenie!? Jakkolwiek do niejednego już przywykła przy tym mężu, to jednak tego było jej już za wiele.

Z błyszczącymi oczyma i zaciśniętymi pięściami zbliżyła się do męża.

— Ty mi to śmiesz zarzucić!? Mnie, która ci poświęcam wszystko, depcesz nogami? Ej, powiadam ci, przyjdzie kiedyś dzień zapłaty za to wszystko!

Nie mogła nic więcej powiedzieć, bo mężulek pchnął ją tak silnie, że się zatoczyła w kąt pokoju.

Nieprzygotowana na to uderzyła czołem o wystawający kant szafy i to tak silnie, że krew ciekła strumieniem.

— Nędzniku! — rzekła z wyrzutem — nie żałujesz mnie!...

— E, co tam? — odparł Tulliwer bez współczucia brutalnie — koty i stare panny nie zdychają tak prędko!

Nigdy jeszcze nie był dla niej taki ordynarny i brutalny, taki był teraz zirytowany odpowiedzią Snoba.

Inez całą duszą zbuntowała się przeciw takiej zwierzęcości męża.

Leżała bez ruchu na ziemi, nie ocierając krwi, która strumieniem ciekła jej po twarzy.

— Nie graj komedii! — wrzasnął na nią mąż — wstawaj! albo...

Z groźnie zaciśniętą pięścią stanął nad nią, a wyglądał tak dziko, że się Inez przeraziła.

Wstała i udała się do sypialni, by zmyć krew z twarzy.

Tulliwer klął dalej.

Tymczasem ktoś zapukał do drzwi.

Inez słyszała, że mąż rozmawia po francusku z kelnerem, a potem woła na nią.

Chwiejnym krokiem weszła do drugiego pokoju.

Mąż rzucił jej depeszę, nie mówiąc ani słowa.

Inez czytała telegram:

Drogie dziadki, ojciec wasz umarł właśnie rażony apopleksją. Przyjedźcie lo Londynu, czekamy na was z pogrzebem. Wasza matka.

Inez przeczytawszy telegram, wybuchła na nowo nerwowym płaczem.

W chwili kiedy ojcu złorzeczyła i w duchu robiła gorzkie, a może niesłuszne wyrzuty, staruszek żegnał się ze światem.

Nierychło napełniła ją skrucha za jej niewdzięczność i brak pietyzmu dla ojca.

Podała depeszę mężowi.

On przeczytał i rzucił się na nią.

— Czego lamentujesz, głupia? — wrzeszczał — skoro starego diabli wzięli, teraz możemy z jego pieniędzmi robić, co się nam podoba!

Inez płakała dalej i nic się nie odzywała.

Ku ogromnemu zdziwieniu swemu uczuła nagle, że mąż obejmuje ją czule i całuje.

— Nie gniewaj się! — prosił — ja jestem porywczy, musisz mi wybaczyć.

— James — jęknęła pani Tulliwer — zraniłeś mnie do głębi serca.

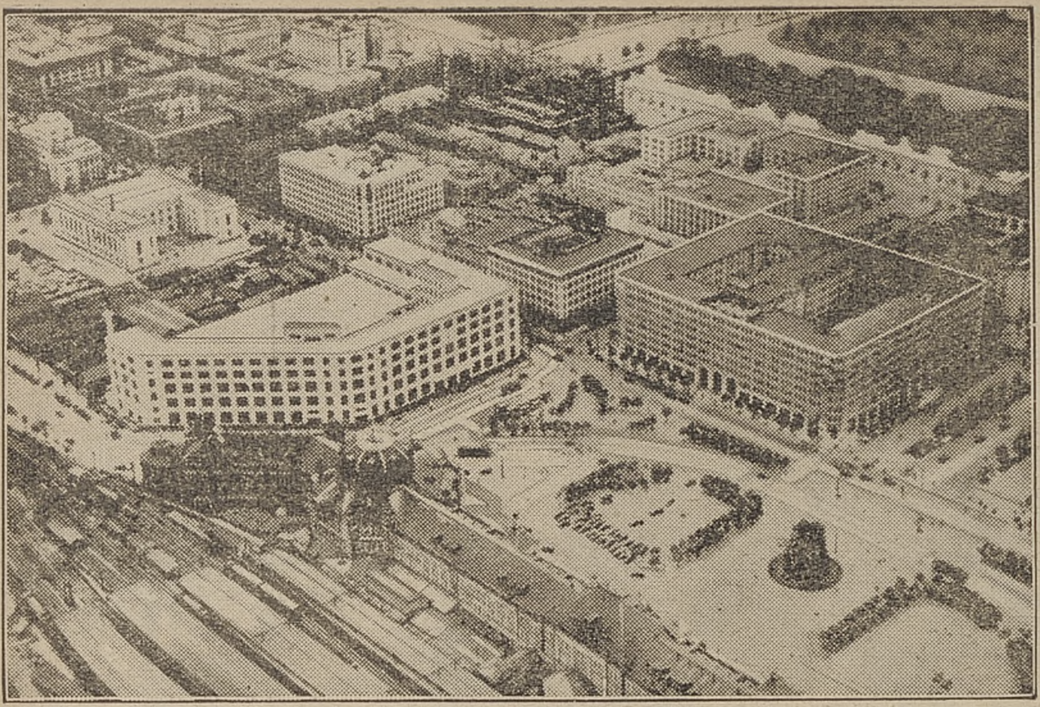
— Zapomnij o tym — prosił Tulliwer — niech słowa wyrzucone w gniewie nie robią różnicy między nami.

Ona ponuro, patrzyła przed siebie.

— Przysięgam ci, że się już nigdy tak nie zapomnę — rzekł Tulliwer — tuląc ją do siebie, pocałuj mnie i zgoda niech zapanuje między nami.

Jak to miłość zaślepia!

Inez zapomniała i przebaczyła. Cały jej gniew i oburzenie ustąpiło. Uwierzyła mu i całowała serdecznie te same usta, które ją przed chwilą tak znieważały i czuła się szczęśliwą!



W związku z konfliktem zbrojnym na Dalekim Wschodzie oczy całego świata są zwrócone na Tokio, gdzie decydują się losy walk chińsko-japońskich. Na zdjęciu nowoczesna dzielnica stolicy Japonii.

Tulliwer ze źle ukrywaną niecierpliwością przerwał tę czułą scenę.

— Musisz zawiadomić Fides — rzekł — i przygotować się do podróży. Waker pojedzie z wami, ja nie mogę, bo mam tu pilne sprawy.

Inez nie była z tego zadowolona, ale nie śmiała się sprzeciwić.

Zawiadomiła siostrę o wypadku.

Fides przyjęła wiadomość z dziwną rezygnacją i obie zaczęły się przygotowywać do podróży.

Ku ich wielkiemu niezadowoleniu Waker także miał pilne bardzo sprawy, które mu nie pozwalały wyruszyć z nimi, tak, że musiały ostatecznie jechać same.

Jednak mężulkowie byli dla swych żon nagle znowu grzeczni. Sami przywieźli dla nich z magazynów stroje żałobne i odprowadzili je na dworzec.

Po drodze Tulliwer pouczał żonę, jak się ma zachowywać, by matkę pozyskać dla ich spekulacji.

— Przedstaw jej — mówił — jakie to wspaniałe korzyści! Przecie ona będzie miała takie same dochody, jak my.

— Zrobię wszystko, co mogę — przyrzekła Inez.

— Czy nie wiesz, jaki testament ojciec mógł zrobić? — spytał po chwili namysłu Tulliwer.

— Tato nie robił tajemnicy z tego — objaśniała Inez. — Rozdzieliwszy posagi, miał jeszcze 50 tysięcy funtów szterlingów i dom w Londynie. Z tego mama ma zapewnione dochody dożywotnie, a potem przypada to w równych częściach nam.

— Hm, rzekł Tulliwer — najlepiej by było, żebyście matkę zabrały zaraz po pogrzebie tu do nas. Zawsze to kobieta może łatwo być oszukana i mógłby od niej ktoś wyłudzić to, co zresztą nawet nie jest jej własnością. Przecie ona jest niegłupią kobietą i nie będzie się kierować żadnymi przesądami, zwłaszcza, jeżeli chodzi o jej własny interes.

— I ja myślę, że mama da się namówić — rzekła Inez.

To Tulliwerowi bardzo poprawiło humor.

Czule bardzo pożegnał się z żoną, Waker ze swoją tak samo, tak że obie odjechały bardzo uszczęśliwione.

Zostawmy słomianych wdowców z ich smutkiem i tęsknotą za ukochanymi żonami i udajmy się raczej z nimi do Londynu.

W drodze zamyślone milczały przeważnie.

Jedna i druga myślała o mężu, jedna i druga powierzchownie tylko bolała z powodu śmierci ojca.

Dom rodzicielski został już przystrojony żałobnie, a matka była także w ciężkiej żałobie i w angielskim czepku wdowim.

Była niemile rozczarowana, gdy się dowiedziała, że pogrzebowy orszak nie będzie uświetniony udziałem dostojnych zięciów.

Nie mogła też krewnych Wakera ani Tulliwera zawiadomić o tym, co się stało, bo nie znała ich bliższych adresów.

Stary Snob użył swej wolności po wydaniu za mąż córek, w ten sposób, że cały Boży dzień jadł i pił. W krótkim czasie roztył się bardzo i był mocno zdenerwowany. Gdy otrzymał list od Inez, w sprawie tej spółki, stary rozgniewał się bardzo. Wołał, że nie będzie taki głupi, żeby się zdawał ze wszystkiem co ma, na łaskę i niełaskę zięcia.

Nie chciał słuchać perswazyj żony i natychmiast napisał odpowiedź odmowną. Po wysłaniu tego listu były między małżonkami częste o to spory. Ona nakłaniała go, żeby się zgodził na propozycję dostojnych zięciów, a on się wzbraniał. Pewnego dnia gdy podjadł sobie więcej jeszcze, niż zwykle, a ona nalegała znowu na niego, żeby wstąpił do owej spółki, zirytował się tak, że z zaciśniętymi pięściami przyskoczył do długoletniej towarzyszki życia. Usiłował krzyczeć, ale dech mu zaparło, posiniał i upadł na ziemię. Był to atak apopleksji, z którego już nie zdołano go uratować.

Inez przez chwilę ze zgrozą myślała o tym, że pośrednia przyczyna śmierci ojca wyszła od niej, a właściwie od jej męża. Ale wnet spłoszyła tę przykrą myśl i uważała śmierć za zwyczajny, naturalny przypadek.

Pogrzeb pana Snoba, człowieka bardzo poważnego, odbył się przy wielkim i licznym współudziale publiczności, między którą jednak, ku wielkiemu żalowi pozostałej w smutku rodziny, nie było nikogo z arystokracji.

Skoro się pogrzeb skończył, zaczęła Inez mówić o interesach.

Pani Snob z zapałem myślała o wspaniałych planach pana Tulliwera i o ile to się dało, zlikwidowała cały swój majątek, resztę powierzyła administracji osobie zaufanej i z córkami wybrała się do zięciów.

Tulliwer i Waker zawiadomieni telegraficznie zjawili się na dworcu z bukietami, a pokoje w hotelu przystroili kwiatami na przyjęcie teściowej. Pani Snob tak była wzruszona tą arystokratyczną owacją, że nawet nie mogła dużo jeść przy wspaniałej uczcie wyprawionej na cześć jej przybycia.

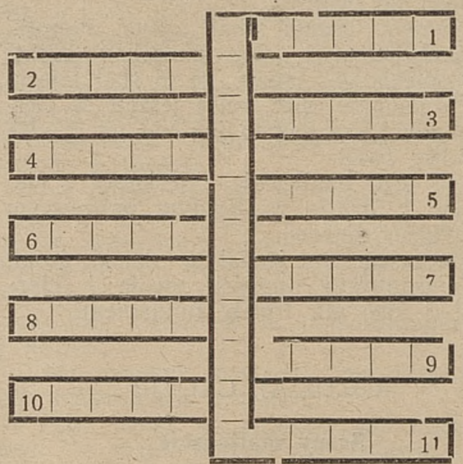
Po kolacji Tulliwer w zacisznym kąciku salonu w te słowa przemówił do teściowej:

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Ł A M I G Ł Ó W K A

ułożyła H. Karge



Wpisać w puste kwadraciki wyrazy których początkowe i końcowe litery (na przemian) dadzą rozwiązanie dwu imion osób bardzo drogich wszystkim Sympatykom „Moich Powieści". Wpisane cyfry oznaczają kolejność z jaką należy wpisać poszczególne wyrazy. Rozwiązanie da środkowa pionowa rubryka.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej przeszkoda; 2. Imię bohatera głośnej tragedii Szekspirowskiej; 3. Inaczej indyjski wróżbita; 4. Półwysep Południowej Azji między archipelagiem malajskim w drugim przypadku; 5. Rodzaj kaktusa; 6. Nazwa rzeki opiewanej przez wielu poetów i muzyków; 7. Nazwa prowincji starożytnej Grecji; 8. Tytuł piosenki popularnej śpiewanej przez Kiepurę; 9. Jednostka wagi; 10. Choroba zakaźna; 11. Imię męskie.

Z A G A D K A

pod. Z. S.

Szaty jej mają barwę róż,
u ramion złote skrzydełka drżą,
na licach odblask rannych zórz,
na włosach słońca promienie lśnią.
Zjawia się różnie: tu i tam;
dziś ją zobaczysz u chaty wrót,
jutro u pałacowych bram,
nie zraża jej ni skwar, ni chłód.
Kędy się zjawi, milknie złość,
zanika boleść, maleje trud,
błogosławiony to wszędzie gość,
tęskni też do niej ludzki ród.
Szczęsny, kto chwilę choć ją zna,
nastanie wówczas dlań życia maj:
niestety — krótko tutaj trwa,
bo jej ojczyzną — niebieski raj.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 6 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 38 „Moich Powieści"

Konikówka: Co ty mnie gnieciesz daremnie?
Wszak nie będzie kurcze ze mnie!
— Wołało jaje pod karą.
A ta mu rzekła ponuro:
— Milcz, jeszcze tego nie było,
By jaje kurę uczyło.

Szarada: Sobieski.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jasielska Maria — Inowrocław, Chodzierski Jan — Grudziądz, Kawczyński Leon — Poznań, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Jagodzki Lech — Katowice, Lewalski Wiktor — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jagodzkiemu z Katowic i Kawczyńskiemu z z Poznania.

ADAM CZEKALSKI

1)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

I.
NOC GROZY

Panna Lila Krupińska powróciła co tylko z wielkiego balu prasy i, siedząc przed lustrem, wspominała te wszystkie miłe i rozkoszne chwile, których pomysłowi organizatorowie balu nie szczędzili swoim „miłym gościom“, aby uświetnić doroczną redutę. Dokoła była noc i cisza. Czasem tylko przelatywał gdzieś w dali tramwaj nocny z dźwiękiem żelastwa i zgrzytem osi, czasem odezwał się na ulicy urywany refren piosenki podpitego gościa karnawałowego, a poza tym spokój, który sączył się do mieszkania i obejmował zmęczone ciało łagodnym, ciepłym uściskiem rozmarzenia i snu.

Lila powstała wolno, przeciągnęła się lekko i niedbale zaczęła się rozbierać, od czasu do czasu rzucając tęskne spojrzenie ku stoliczkowi nocnemu, na którym stała fotografia młodego lotnika, zdająca się wodzić za młodą panną wzrokiem jakby roztęsknionym i ogromnie rozmiłowanym.

Ściągnięcie obcisłej i ściśle przylegającej do ciała sukni balowej, sprawiło pannie niemało kłopotu, ale w końcu uporała się i z tym trudnym dziełem, ułożyła suknię na poręczy krzesła i szybko dokończyła reszty. Mimo woli spojrzała na zegarek: była godzina trzecia nad ranem.

„Najwyższy czas wypocząć“ — przemknęło jej przez myśl i jednocześnie zrzuciła z siebie pajęczą koszulkę, aby włożyć piżamę. I w tym momencie doznała takiego uczucia, jakby czyjeś rozpalone wargi dotknęły jej obnażonych pleców, a niewidzialne ramiona usiłowały objąć jej postać.

Trwożliwie obejrzała się po pokoju, oblanym matowym blaskiem elektrycznego światła, ale pokój był pusty.

— Jestem zmęczona — rzekła sobie półgłosem Lila, próbując stwierdzeniem tego faktu dodać sobie nieco odwagi, bo czuła jak bardzo wzbiera w niej przedziwna trwoga przed czymś nieznanym, co było z nią i zdawało się wyciągać ramiona jakby z jakiegoś niewidzialnego i nieokreślonego świata. I rzeczywiście, po wypowiedzeniu tych słów, uczucie doznanego pocałunku zniknęło i zwolna spokój ogarniał Lilę.

— Skutek rozdrażnienia i nic więcej — powtórzyła znowu Lila półgłosem i podeszła do umywalni, aby się obmyć. Ale zaledwie tylko obnażyła znowu plecy z piżamy, poczuła, jak gdyby ktoś gwałtownie porwał ją w ramiona, a czyjeś usta niewidzialne, ale gorące, jak rozpalone żelazo, dotknęły tym razem jej piersi.

Rzuciła się gwałtownie w bok, jakby pragnęła tym jednym ruchem pozbyć się owego tajemniczego uczucia, a jednocześnie z ust jej wyrwał się przeraźliwy, mrożący krew w żyłach krzyk, obłędny, niesamowity, straszny... Panująca do niedawna cisza wypełniła się tym niesamowitym krzykiem, rozbrzmiała nim, rozdzwoniła, poczem wszystko ucichło i cisza stała się jeszcze głębsza, jeszcze większa, jeszcze bardziej straszna, niż owa chwila przerażenia, w której huczał krzyk i jego echo tłukło się po mieszkaniu.

W pewnej chwili trzasnęły drzwi, gdzieś w oddalonej części mieszkania, zachrobotała klamka do pokoju Lili, a ona, wpatrując się w poruszenia klamki, stała na miejscu, niby słup kamienny, pełna przerażenia w oczach, w ruchach, w całej swej postaci. Zdawało jej się, że tam za owymi drzwiami, w których porusza się klamka, znajduje się jej wróg, że stamtąd idzie do niej prześladowca, dotąd niewidzialny, nieuchwytny, tajemniczy... Szeroko rozszerzonymi oczyma wpatrzyła się w drzwi, drżąca, poruszona do głębi, czekając na to, co miało przyjść, lub na to, co miało spaść na nią.



Nie wiesz, jak kocha Ciebie mama!...

— Lilu! — odezwał się trwożliwy głos za drzwiami — czy to ty krzyczałaś?

Lila poznała głos matki, ale nie mogła ani głosu wydobyć z przerażeniem ściśniętej krtani, ani kroku postąpić.

— Lilu, Lilu! — powtórzyła wezwanie matka.

Lila otrząsnęła się w końcu, opanowała najwyższym wysiłkiem woli i spróbowała zrobić krok jeden i drugi ku drzwiom, aby je otworzyć i wpuścić matkę. Udało jej się podejść do drzwi tylko dzięki nadzwyczajnemu nad sobą wysiłkowi, ale tu stwierdziła, że drzwi były zamknięte na klucz, a w zamku klucza nie było.

— Lilu, otwórzże nareszcie, dziecko! — wezwała ją matka.

— Otworzyć... otworzyć... ależ mamo, ja nie mam klucza, on musi tkwić w zamku po tamtej stronie drzwi.

Chwilę trwało milczenie zarówno po jednej jak i po drugiej stronie drzwi, poczem znowu odezwał się głos matki drżący jak gdyby trwogą:

— I tutaj klucza nie ma. Może go wyjęłaś? Może znajduje się tam gdzie u ciebie?

— Nie, ja w ogóle klucza nie widziałam... nie miałam w ręku dzisiaj...

Lila pod wpływem głosu matki, znajdującej się za drzwiami, uspokajała się zwolna, ale zupełnie nie mogła pozbyć się przerażenia i przedziwnej trwogi, które przepełniać się zdawały każdy jej nerw, każdy fibr.

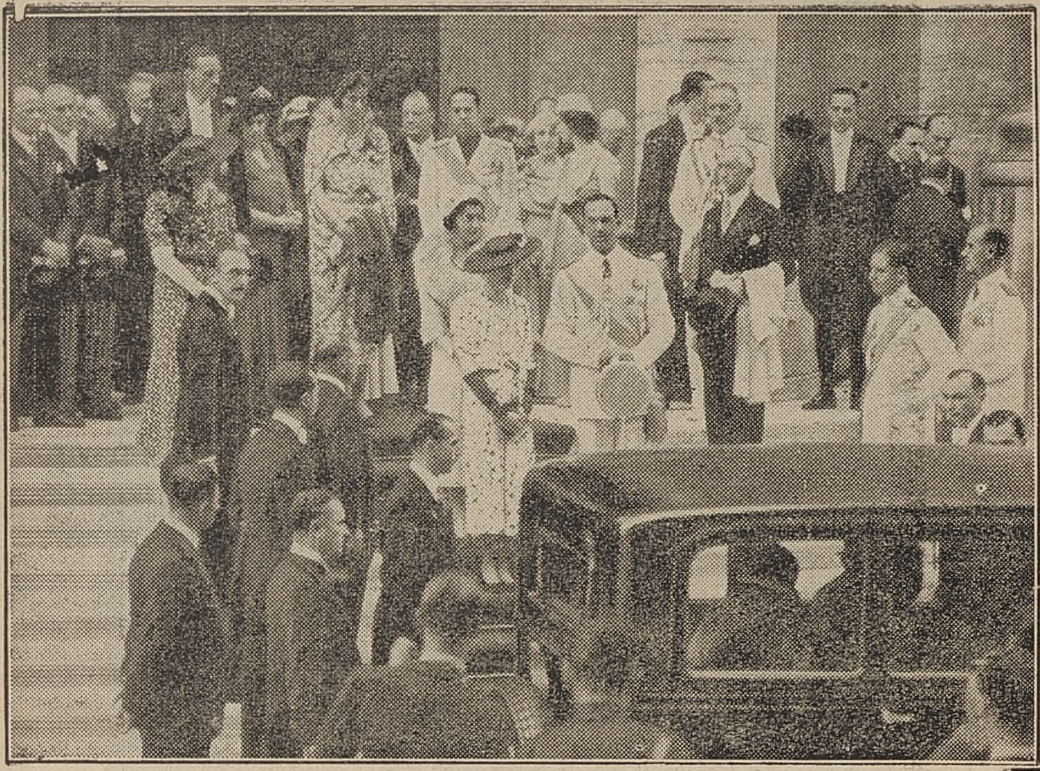
— Czy ty rzeczywiście krzyczałaś, Lilu? — spytała znowu matka.

Lila już miała odpowiedzieć, że tak, że to ona wydała z siebie ten niesamowicie przeraźliwy krzyk, że znajduje się wciąż jeszcze pod wpływem niepojętego strachu, który ogarnął ją nagle, chciała prosić, aby matka natychmiast tu do niej przyszła, ale gdy już miała wypowiedzieć pierwsze słowo, coś niewidzialnego chwyciło ją za gardło i ścisnęło tak krtań, iż od uścisku tego zemdlała i bezwładna padła na podłogę.

Stuk padającego ciała, brak odpowiedzi na dalsze pytania, wzbudziły w pani Krupińskiej niemal pewność, że po drugiej stronie drzwi, dzieje się coś niepojętego, coś bardzo złego. Więc nie próbując nawet otworzyć zamkniętych drzwi wprost do pokoju córki, pobiegła ku kuchni i bocznym wejściem wpadła do sypialni Lili. To, co zobaczyła, zmroziło w niej krew. Na podłodze leżała córka, oblana z góry blaskami mlecznego światła elektrycznego, nie dająca żadnego znaku życia, jakby martwa. Lecz nie to jeszcze napełniło matkę niemal śmiertelną trwogą, bo to zdawało się być jeszcze złem najmniejszym, ale sine pręgi na szyi Lili, pręgi zaciekłe krwią, jak gdyby od uderzenia lub stalowego zaciśnięcia palców obu rąk na niej.

— Lilu! Lilu!... — krzyknęła pani Krupińska łzawym i przerażonym głosem i przypadłszy do córki, zaczęła nią potrząsać, próbując przywrócić jej przytomność, ale wszelkie zabiegi zdawały się być daremnymi: — Lila leżała wciąż nieruchomo, niema, blada, jak gdyby w twarzy jej nie było jednej kropli krwi.

Krupińska porwała się od leżącej na podłodze córki, jednym skokiem przypadła do okna i otworzywszy je jednym szarpnięciem na ścieżaj, rzuciła w czarną, pobłyskującą tylko rzadkimi i dalekimi świat-



Niedawno odbył się ślub księżniczki Katarzyny z markizem Farace. Na zdjęciu para młoda w otoczeniu arystokratycznych gości i krewnych na stopniach kościoła św. Andrzeja, po ukończeniu ceremonii zaślubin.

łami ulicznymi ćmę śpiącej Łodzi krzyk wezwanie:

— Ratunku!... Ratunku!...

Ten nocny krzyk przerażonej kobiety zdawał się mieć moc spiżu i rozbrzmiał wśród ciszy jak dzwon na trwogę.

Uśpiona Łódź, jak każde zresztą wielkie miasto, nigdy nie jest uśpiona całkowicie. Pozornie zdaje się, że miasto śpi, wypoczywa, nabiera sił do pracy w dniu następnym, ale gdy się uważniej wsłuchasz w tętno tego olbrzymiego kolosa, najeżonego niezliczonymi bagnetami kominów fabrycznych, wyczujesz żywy nurt życia, nurt niemal tak gorączkowy, jak za dnia.

Nie spała też całkowicie Łódź i tej nocy, w którą w zacisznym mieszkaniu Krupińskich przy ulicy Tadeusza Kościuszki groza rozpasała się nad miarę wytrzyma łości nerwów ludzkich, w którą do owego mieszkanka weszło nieznane „coś" i tajemnicze. Wezwanie Krupińskiej usłyszała przede wszystkim służąca. Zerwała się natychmiast z posłania w swoim służbowym pokoiku, chwilę siedziała nieruchomo na miejscu. a gdy krzyk znowu się powtórzył, buchnęła w drzwi kuchni i wpadła do sypialni panienki. Usłyszał również ów krzyk posterunkowy policji, pełniący opodal służbę i oznajmiwszy gwizdkiem niezwykłość zdarzenia dalszym posterunkowym, pobiegł w stronę, skąd uszu jego doszedł krzyk — wezwanie o pomoc.

A Krupińska, rzuciwszy swoje tragiczne wezwanie w przestrzeń, oderwała się znowu od okna i przybiegła do córki wciąż nieruchomej i niedającej żadnego znaku życia. Fala świeżego, mroźnego powietrza styczniowego hurmem wdarła się do mieszkania i wywołała zmianę w usposobieniu Lili. Pod wpływem zapewne owego mroźnego powietrza, twarzyczka jej pokryła się słabym rumieńcem, powieki nieznacznie poruszyły się raz i drugi, usta jak gdyby drgnęły.

— Jezus Maria! — załamała ręce służąca, wpadając do pokoju i stając na progu w najwyższym zdumieniu. — Proszę pani, co się tu stało?

Ale Krupińska nie odpowiedziała. Pochylona nad córką zajęta była całkowicie cuceniem Lili, skrapiając jej twarz wodą kolońską, nacierając skronie i przemawiając do niej nieustannie słowami najczulszymi, na jakie zdobyć się tylko może matka.

— Proszę pani — odezwała się znowu służąca — musimy panienkę położyć do łóżka i zamknąć okno.

— A prawda, Marysiu, prawda... — odpowiedziała na to Krupińska jakby w jakimś osłupieniu, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z miejsca i z wypadków, które się tutaj wydarzyły. Rozpacz na widok omdlałej córki wdarła się do jej serca jak burza i dziw, że nie powaliła jej na miejscu.

Służąca szybko zamknęła okno, sama następnie ujęła na ręce Lilę i zaniosła do łóżka. W tej chwili gwałtowne dzwonienie przy drzwiach zwróciło uwagę Marysi. Dzwonienie to wpadło także i do uszu osłupiałej przerażeniem Krupińskiej.

— Niech pani naciera dalej panienkę — odezwała się służąca — a ja pobiegnę zobaczyć, kto się tam po nocy tak dobija.

Za drzwiami stał policjant i jakiś cywilny pan.

— Czy to z tego mieszkania wzywano pomocy? — spytał posterunkowy.

— Tak, tak, proszę pana — odrzekła pośpiesznie Marysia — stało się coś dziwnego, coś bardzo dziwnego.

— A no, zobaczymy — rzekł na to posterunkowy i wszedł do przedsionka, a za nim ów cywilny pan. Dozorca domu skinął na Marysię, chcąc ją o coś zapytać, ale ta wymówiła się brakiem czasu i poszła za obu panami.

Gdy wszyscy troje weszli do pokoju Lili, pani Krupińska już się była nieco uspokoiła, przynajmniej do tego stopnia, że mogła przynajmniej logicznie odpowiadać na pytania policjanta. Na to opanowanie się u niej wpłynął fakt oprzytomnienia córki i zjawienie się przedstawiciela porządku publicznego.

— Co się tu stało, proszę pani? — zwrócił się policjant do Krupińskiej. — Czy to pani wzywała pomocy z okna mieszkania?

— Co się stało? Co się stało? — powtórzyła mechanicznie i bezdźwięcznie Krupińska, wciąż jeszcze wzruszona i przejęta. — Proszę pana, ja sama nie wiem, jak sobie to wszystko wytłumaczyć. Coś się stało, coś strasznego, bo sam pan widzi, że córka moja prawie na pół żywa wciąż jeszcze leży, a na szyi ma... — Krupińska odsłoniła kołdrę i ukazała posterunkowemu sino-krwawe pręgi na przeczystej bieli skóry córki, przypominające odciski czyichś palców. — Patrz pan — szepnęła następnie jakby w trwodze. — Co to jest?

— Ktoś usiłował udusić pańską córkę — skonstatował spokojnie policjant.

— Udusić... — powtórzyła Krupińska. — Udusić... Więc pan przypuszcza, że ktoś tu był w pokoju?

— Takby sądzić należało, bo przecież duch nie mógł tego zrobić.

— Ależ gdyby tu kto był, zostawiłby pewnie jaki ślad, musiałby którędyś przyjść i wyjść, a przecież drzwi wejściowe były zamknięte, jak to sam pan przed chwilą stwierdził, okna były pozamykane.

— To się wszystko wyjaśni, a tymczasem niech pani pozwoli, że ten pan zbada pańską córkę. Jest to lekarz, którego spotkałem po drodze, idąc tutaj.

Cywilny pan ukłonił się Krupińskiej i czekał w milczeniu na zezwolenie.

— Ach, jak to szczęśliwie się złożyło, że pan przyprowadził lekarza! — zawołała Krupińska. — Proszę, panie doktorze, niech pan będzie uprzejmy zbadać córkę, może trzeba będzie jakie leki, to Marysia zaraz pobiegnie do apteki.

Nieznajomy lekarz nie odpowiedział na to ani słowa, ale podszedł do łóżka i wpatrzył się mocno w twarz Lili. Posterunkowy usunął się na bok i uważnie słuchał szczegółowego opowiadania Krupińskiej o całym zajściu.

— Najbardziej niezrozumiałą dla mnie rzeczą jest — kończyła pani Ewa — że drzwi, łączące pokój córki i mój, które od niepamiętnych czasów nigdy zamykane nie były, dzisiaj ktoś zamknął i daremnie szukałyśmy klucza do nich, aby je móc otworzyć.

— To nic nie znaczy, drzwi te mogła przecież zamknąć służąca podczas gdy obie panie byłyście na balu.

— I to możliwe, ale aby się o tym przekonać, możemy zaraz rozpytać służącą.

— Jak pani sobie życzy.

Przywołana Marysia zaklęła się jednak na wszystkie świętości, że w ogóle drzwi nie zamykała i nawet nie pamięta, aby kiedykolwiek istniał klucz do tych drzwi. Nie pamięta ich nigdy zamkniętych.

— Hm — mruknął posterunkowy — to ciekawe. A no, zobaczymy.

Podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i... bez najmniejszego trudu je otworzył. Po czem spojrzał triumfująco na Krupińską i rzekł:

— Musiały się panie przewidzieć. Te drzwi nigdy nie były zamknięte, przynajmniej w czasie, w którym dziać się miały owe niesamowitości, o których pani mi tu opowiada.

— Mogę panu zaręczyć jak najuroczyściej, że o przywidzeniu mowy być nie może, pamiętam to doskonale, że parokrotnie próbowałam drzwi otworzyć, ale były zamknięte, na pewno zamknięte!

Posterunkowy wzruszył ramionami.

— To wszystko wyjaśni się w śledztwie. Ja złożę po służbie meldunek na posterunku o całym zajściu i obie panie będą przesłuchane. O jedno proszę, ażeby do tego pokoju nikt nie wchodził i niczego nie dotykał do czasu zjawienia się pana komisarza dla przeprowadzenia śledztwa.

— Dobrze, proszę pana.

— No, cóż tam, doktorze? — zwrócił się posterunkowy do sprowadzonego przez siebie lekarza.

Cywilny pan odwrócił się od chorej i spojrzał mocno w oczy posterunkowemu, następnie wzrok swój przeniósł kolejno na Krupińską i stojącą w nogach łóżka służącą. Na twarzach każdej z tych trzech osób wzrok jego zatrzymał się przez chwilę, jakby je badał lub próbował zapamiętać sobie ich rysy.

— Chorej nic nie będzie — rzekł krótko. Nim dzień nastanie, po słabości nawet ślad nie zostanie.

— Czy przypuszcza pan jakąkolwiek napaść? — spytał posterunkowy.

— Wykluczone. Zdaniem moim cały ten wypadek należy przypisać rozstrojowi nerwowemu. Spójrz pan! — rzekł rozkazująco lekarz do posterunkowego, wskazując mu szyję Lili, na której jeszcze przed kwadransem widniały sino - krwawe plamy.

— To nie do wiary! — zawołał policjant. — Ślady duszenia znikły!

— Czy być może? — poruszyła się Krupińska, podbiegając do córki i przyglądając się z wielką uwagą tym miejscom na szyii, gdzie jeszcze niedawno najwyraźniej wszyscy widzieli ślady dziesięciu palców czyichś rąk.

— A dyć prawda! — zawtórowała Marysia. — O, pan doktór to musi być prawdziwy czarodziej.

— Ja tu właściwie prawie nic nie miałem do czynienia — odrzekł jakimś melancholijnym, aksamitnym głosem nieznajomy lekarz, jakby odpowiadał na nieme pytanie zarówno Krupińskiej jak i posterunkowego. — Na skutek silnego przedenerwowania i silnego wyczerpania, córka pani doznała pewnego szoku nerwowego, skutkiem czego wydało jej się — to słowo lekarz podkreślił w specjalny sposób — że jest napadnięta. Ale wszystko to urojenia, zapewniam państwa, że to urojenia. Najlepszym dowodem tego jest zniknięcie wszelkich śladów rzekomego duszenia.

— Ależ doktorze — odezwała się Krupińska — córkę moją znam doskonale od najmłodszych lat, sama ją wychowałam przecież, ale nigdy nie stwierdziłam u niej najmniejszych objawów choroby nerwów lub histerii.

— To nic nie znaczy — odrzekł krótko lekarz. — Macie państwo dowód, że dowody histerii były i znikły. Jutro córka pańska będzie całkowicie zdrowa i nawet pamiętać nie będzie o tym, co rzekomo spotkać ją miało dzisiaj. Łódź jest wielkim miastem, pani, jest zbiorowiskiem najprzeróżniejszych typów ludzkich. Życie współczesne jest całe przedenerwowane, wyczerpujące, dziwne, a cóż my o nim naprawdę wiemy? Nic i nic. Zdaje nam się, że doszliśmy do szczytu kultury, do szczytu znajomości tajemnic przyrody, że owe tajemnice wydarliśmy naturze, a w gruncie rzeczy, to my bardzo mało wiemy: jesteśmy zaledwie na progu tajemnic życia i tajemnic przyrody.

— Co tam — przerwał posterunkowy — to sprawy dalsze, a najbliższą nam sprawą jest dzisiejszy dziwny wypadek. Zatem, jak pani powiedziałem— — zwrócił się do Krupińskiej — po służbie złożę raport na komisariacie, a panie będziecie później mówić do protokółu o swoich spostrzeżeniach.

— A ja radziłbym nawet nie wspominać o tej niemiłej przygodzie, panie starszy — rzekł niedbale doktor. — Tutaj władze policyjne właściwie nic nie mają do roboty, a jedynym potrzebnym człowiekiem był lekarz.

— Może to i słuszne — zgodziła się Krupińska.

— To do mnie nie należy — obruszył się posterunkowy. — Ja mam obowiązek meldować wszelkie spostrzeżenia swojej władzy, a co ona tam zdecyduje, to jej rzecz.

— Zrobi pan tak, jak będzie uważał za zgodne ze swoimi przepisami — zgodził się lekarz — ja tylko rzuciłem zgoła luźną uwagę i nic więcej. Żegnam państwa — skłonił się Krupińskiej i posterunkowemu. — Czas na mnie.



Dalie — kwiaty jesieni i uśmiech wiosny — dziecko.

— Przepraszam — zatrzymała go na chwilę Krupińska — czy mogłabym znać nazwisko pana doktora?

— Borowicz jestem.

— Borowicz? Pan doktór pewnie niedawno w Łodzi?

— Przeciwnie, w Łodzi jestem od blisko roku.

— To dziwne, że dotąd nie słyszałam nazwiska pana doktora.

— Dziwne? Bynajmniej! Jako lekarza zna mnie w Łodzi rzadko kto, gdyż ja w ogóle nigdy nie praktykuję, a dziś uczyniłem wyjątek, przychodząc tutaj.

— Serdecznie dziękuję panu za ten wyjątek, który tak dla nas był dobrym w skutkach.

— Spełniłem tylko mój obowiązek czysto ludzki i jeśli przyniosłem córce pani choć najmniejszą ulgę w cierpieniu, to wystarczy mi za wszelkie podziękowania i wszelką zapłatę — zakończył, asekurując się przed możliwością efektywnej zapłaty w gotowiźnie za wizytę.

Po odejściu tak niespodziewanych i niezwykłych bądź co bądź gości nocnych, pani Krupińska usiadła na brzegu łóżka córki i wpatrzyła się w jej twarz, teraz już zarumienioną i ożywioną. Lila spała, oddychając równo i miarowo, jak gdyby owo przejście tajemnicze i nieznane dobrze matce, nigdy nie istniało, nigdy miejsca nie miało.

Krupińska przesiedziała tak aż do świtu, obawiając się odejść choćby tylko na najkrótszy moment od łóżka córki, bo lękała się, że gdy się oddali, może znowu stać się co niezwykłego, lub coś niesamowitego.

W pewnej chwili Lila otworzyła oczy, zamrugała nerwowo powiekami i podniosła odrobinę głowę, a ujrzawszy matkę, szepnęła:

— To ty, mamo? Dlaczego nie śpisz? Przecie to jeszcze bardzo rano.

— Boję się odejść stąd, dziecko.

— Boisz się odejść? Dlaczego?

— Bo byłaś bardzo chorą, Liluś.

— Ja byłam chorą? Co też powiadasz?

— Zapewniam cię kochanie, że działo się z tobą coś strasznego i coś dla mnie niepojętego, coś takiego, czego zupełnie nie rozumiem. Czy ty nic sobie nie przypominasz?

— O co ci chodzi?

— O ten czas jaki spędziłaś w swoim pokoju od chwili powrotu z balu prasy do czasu zbudzenia mnie swoim niesamowitym krzykiem.

— Krzykiem? Więc ja miałam krzyczeć? Chyba zdaje ci się tylko, mamo.

— Bynajmniej. Od chwili, gdy mnie zbudziłaś swoim krzykiem i gdy dostałam się tutaj przed drzwi kuchenne, gdyż te były zamknięte, wydarzyło się wiele dla mnie wprost niepojętych rzeczy. Przede wszystkim krzyczałaś, dlaczego, nie wiem, bo nie powiedziałaś mi tego, a następnie — zemdlałaś i leżałaś na podłodze bez duszy. Co jednak najdziwniejsze, że na szyi miałaś bardzo wyraźne odciski palców rąk ludzkich, jak gdyby ktoś dusił cię. Przerażona wezwałam przez okno krzykiem pomocy. Przyszedł policjant z doktorem Borowiczem...

— Czekajno, mamo — przerwała jej naraz Lila. — Borowicz, Borowicz, powiadasz?

— Tak, Borowicz, bardzo miły i... ciekawy człowiek. Ma takie zielone oczy, których spojrzenie zdaje się kłuć niby szpilki. Spojrzenie to obezwładnia.

— Ach! Wiem już, wiem... Poznałam przed paru tygodniami tego człowieka i zrobił na mnie bardzo przykre wrażenie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 3 października 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła Św. Krzyża Po nabożeństwie koncert z płyt 12.15 Koncert z Romy z udziałem Jana Kiepury 14.15 Muzyka rozrywkowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla dla dzieci 16.05 Muzyka bułgarska z okazji święta narodowego Bułgarii 16.45 Powieść mówiona 17.00 Koncert rozrywkowy 19.00 „Zegar Pana Tomasza" z cyklu „Kurant staroświecki" 19.30 W. Primrose gra 20.00 Koncert chóru męskiego „Arion" 21.15 Wesoła audycja w opracowaniu Mariana Hemara 22.00 I audycja z cyklu „Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki 22.25 Oktet J. H. Squire'a.

Poniedziałek, dnia 4 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Od warsztatu do warsztatu" — „Trykotarstwo" — z Łodzi 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Trio salonowe P.R. 17.15 Recital fortepianowy Haliny Sembratówny 18.10 Lekkie parafrazy popularnych kompozycyj (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Czytelnik i jego dziennik" 20.00 Melodie operetkowe 21.30 Nowości poetyckie 21.50 Koncert wieczorny — z Wilna.

Wtorek, dnia 5 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fragmenty symfoniczne — płyty 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci 16.05 Przegląd aktualności finansowo-gospodarczych 16.15 Pogodne melodie — w wyk. kwartetu Schrammla 17.00 „Sao Paolo i Butautan" — reportaż 17.15 Audycja muzyki portugalskiej z okazji święta narod. Portug. 18.25 Muzyka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Listy miłosne wielkich poetów" — wieczór literacki 20.00 Transmisja z Filharmonii Warsz. II Koncertu poświęconego twórczości Szymanowskiego 22.10 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 6 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Georg Kulenkampf i Gaspar Cassado grają (płyty) 15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — audycja dla dzieci 16.15 Łódzka orkiestra salonowa 17.00 „Powstanie w Brasławszczyźnie i Nieświeżu w r. 1919" — odczyt 17.15 Włoskie arie i pieśni 18.10 Georges Boulanger wykona swoje utwory 18.35 Audycja dla wsi 19.20 Pieśni Szwajcarii francuskiej 19.35 „Rola nauki w kulturze współczesnej" — odczyt 20.00 Lekkie wiązanki wokalne i instrumentalne (płyty) 21.00 Koncert chopinowski 22.00 Koncert popularny orkiestry wileńskiej.

Czwartek, dnia 7 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół — poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.40 Koncert 15.45 Wędrówki muzyczne — audycja z Wilna 17.15 Koncert solistów 18.25 Muzyka 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Premiera słuchowiska „Chiromantka" 19.30 Miniatury muzyczne 20.00 Koncert symfoniczny z okzji festivalu sztuki polskiej — Transmisja z Filharmonii Warszawskiej 21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 8 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 „Gra orkiestra Filharmonii Berlińskiej" — koncert z płyt 15.45 „Październik" — pogadanka dla dzieci 16.15 Koncert Ork. Dętej Tramwajów i Autobusów Miejskich 17.00 „Organizacja opieki nad młodzieżą pracującą w Austrii" — odczyt 17.15 B. Marcello — A. Corelli: Koncert Orkiestry Kameralnej 18.10 Tercety wokalne i instrumentalne 18.35 „Dożywiajmy dzieci" — pogadanka dla gospodyń 19.40 Muzyka 20.00 Cavaleria lwowiana — operetka w I akcie (ze Lwowa) 22.00 Koncert kameralny.

Sobota, dnia 9 października 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Śpiewajmy piosenki" — audycja dla szkół 11.40 Erik Coates: Cztery drogi — suita 15.45 „W pustyni i w puszczy" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Koncert Małej Orkiestry P.R. z okazji festivalu sztuki polsk. 18.15 Pieśni w wykon. barytona Karola Schmidt-Waltera (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.50 Przemówienie J. E. ks. Kard. Prym. Hlonda z okazji Tygodnia Miłosierdzia 20.00 Koncert solistów 21.00 „Gre-gre-gregoły" — poszły żaki do szkoły" — audycja muzyczno-słowna 21.45 „Uprzejmy człowiek" — humoreska 22.00 Orkiestra Hermana (z Krakowa).

HUMOR

LOGICZNIE...

— Cóżeś tak zmizerniał?
— A bo widzisz, długi mnie tak dręczą.
— No, to twoi wierzyciele powinni mizernieć, nie ty.

PRZYJACIÓŁKI

— Wiesz, dałam Stasiowi przed trzema miesiącami kosza i od tego czasu pije!
— A... wiesz ty? Tak długo się cieszyć... to trochę przesadne...

ODWAŻNY

— Kocham panią nad życie, nad świat! Dla pani byłbym gotów samemu diabłu spojrzeć w oczy.
— A więc pomów pan wreszcie z moją mamą.
— Z mamą? Hm... kiedy nie mam odwagi.

PRZYZNAŁ SIĘ

— Jak ty wyglądasz? Jesteś cały pocięty na twarzy. Który to osioł cię golił?
— Ja sam...

NA DRODZE

Auto zatrzymuje się na szosie. Szofer pyta przechodzącego wieśniaka:
— Ojciec! Czy dobrze tędy na Łysicę?
— Jużci dobrze, ino tam bańdzie taki parów to pewnikiem panowie karki pokręcą, ale potem to już dobrze bańdzie.

KWESTIA ZAWODU

— Czem pan był przedtem?
— Strażnikiem na wieży kościelnej!
— Dlaczego pan rzucił tę posadę?
— Bo, wie pan, była pozbawiona wszelkich widoków...

SZCZĘŚCIE

— Powiadam ci, ten Krupski, ma zawsze kolosalne szczęście!
— Jak to?
— Ostatnio jedząc ostrygę, połknął perłę. Dał się natychmiast operować i... wybraź sobie... okazało się, że perła przedstawiała olbrzymią wartość, bo ze sprzedaży udało się pokryć koszta jego operacji i pogrzebu.

BODAJ TO TEŚCIOWA!

Policjant, spisując raport o zakłóceniu spokoju publicznego, podaje:
— Oskarżony był pijany i robił awantury w kantynie. Przybył policjant, — nie bał się policjanta, przyszedł porucznik, — nie bał się nawet porucznika, ale gdy mu powiedziano: „Felek, nadchodzi twoja teściowa!", zląkł się i zaraz zwiał...

USZY I OCZY

— Poco mamy uszy? — pyta nauczycielka.
— Ażebyśmy widzieli — odpowiada najmłodszy uczeń w klasie.
— Czy się nie wstydzisz mówić takie głupstwa? Uszami przecież słuchamy!
— Tak, ale gdybyśmy ich nie mieli, czapka zsunęłaby się nam na oczy!

PRAKTYCZNA...

— Proszę cię Zosiu, zostań jeszcze chwileczkę. Mój mąż nie abonuje teraz dziennika, a chciałabym się dowiedzieć wszystkich nowości.

ZEZNANIA

Pan Dłubinosek odpowiada przed sądem za ciężkie pobicie żony.
Sędzia: — Czy oskarżony może co powiedzieć na swoją obronę?
— A czy pan sędzia ma żonę?
— Nie.
— No, to proszę już nic nie mówić!

OMÓWIENIE

— Kochany przyjacielu, pamiętaj, że czas to pieniądz.
— W takim razie proszę cię o pożyczkę kilku minut.

SŁUSZNE PYTANIE

— Oto mój ostatni obraz, panie doktorze. Jak się panu podoba?
— Czy chce pan słyszeć moje zdanie jako człowieka, czy też jako lekarza?

NA PLEBANII

— Bójcie się Boga, gospodarzu, macie lat 83 i jeszcze przychodzicie z zapowiedziami?
— To ino dla dzieci, proszę księdza dobrodzieja, żeby nie były sierotami.
— A w jakim wieku są te wasze dzieci?
— A no, chłopiec ma sześćdziesiąty czwarty, a dziewczyna idzie na pięćdziesiąt siedem.

NASI KAMIENICZNICY

— Panie gospodarzu, kapie mi...
— Ha, to pewnie kataralne. Idź pan do doktora.
— Ale mnie kapie woda z sufitu na podłogę.
— No, a pan pewnie chciałbyś, żeby kapało z podłogi na sufit?!... Doprawdy, dzikie żądanie!...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie